ROK I. Nr. 47. Numer zawiera 40 stron druku 15 grudnia 1929 r.

7 DNI

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE

CENA 50 GR.



W tekście:
Makuszyński
Kleszczyński
Winawer
i inni

Urocza a znakomita artystka teatrów Polskiego i Małego, pani Janina Romanówna, po dokonaniu zakupów gwiazdkowych w firmie Bogusław Herse. (fot. Dorys).

Zdzisław Kleszczyński

ZAKUPY ŚWIĄTECZNE

— Allo! Allo! 123-456?
— Tak jest.
— Mieszkanie pana Kleszczyńskiego?
— Tak jest.
— Pan Zdzisław Kleszczyński przy telefonie?

— Tak jest. Mam na imię Zdzisław. Zresztą, o tem w każdej encyklopedji... Ale kto mówi?

— Redakcja „Siedmiu Dni".

— A! Słucham.

— Co się z panem działo? Od kilku dni dzwonimy i dzwonimy. Nikt się nie odzywa. Posyłaliśmy gońców. Na dawne mieszkanie. Okazuje się, że pan tam już nie mieszka. Chłopak redakcyjny wrócił z płaczem. Powiada, że komornik chciał go zabić.

— Komornik?

— Przed domem, w którym pan dawniej mieszkał. Siedzi tam w kucki komornik i rwie włosy. Biada na cały głos, że się spóźnił tylko o kwadrans. Podobno nawet widział wagon meblowy Węgiełka, ale nie domyślił się, że to pana przeprowadzają...

— Poślę mu na święta hjacynt. Ale czem mogę służyć panom?

— Potrzebujemy noweli.

— Fiu-fiuu... Zaraz noweli! Nowela teraz, na nowem mieszkaniu, będzie kosztowała 1.000 złotych.

— Dlaczego aż tyle?

— Inna długość i szerokość geograficzna. Poza tem, muszę sobie przecież odbić koszta przeprowadzki.

— W takim razie ...ton

— Ludzie małego serca! — Dobrze. Uprzedzam jednak, że i feljeton podrożał.

— Powód?

— Olbrzymi wzrost kosztów produkcji.

— Przecież na przedmieściu, gdzie pan podobno mieszka, taniej?

— Przeciwnie, drożej. Dziś całą noc wyły psy. Nasze dwa jamniki, Pimpasy, wilk sąsiada z prawej strony i wilk sąsiada z lewej strony. Prócz nich, jeszcze mendel różnych psów: dużych, małych... Wnosząc z basu, musiał być między niemi i Saint Bernhard, albo przynajmniej dog... Trzy proszki weronalu wziąłem na sen. Myślicie, że weronal w aptece na kredyt dają?

— No, dobrze. Nie będziemy się targowali. Tylko stawiamy warunek, żeby feljeton był o Zakupach Świątecznych.

— Koniecznie?

— Koniecznie! Pan jest do tego jedyny. Pan to z wdziękiem potrafi. Coś, wie pan o tem, jak pan kupuje dla ukochanej kobiety.

— Dla żony?

— Nie chcemy być niedyskretni... Otóż, jak pan kupuje dla ukochanej kobiety różne świąteczne podarki... No, wie pan: biżuterje, futra, suknie, perfumy...

— Rozumiem .Takie typowe przygotowania do gwiazdki w domu polskiego literata?

— O, właśnie

— Wybornie. W takim razie jeszcze auto.

— Może pan kupić i auto. Ale radzimy na raty. Bo inaczej będzie już zbyt nieprawdopodobnie.

— Ani mi się śni! Albo za gotówkę, albo wcale.

— No, więc niech pan kupuje za gotówkę.
— Ile wierszy tych zakupów?
— 120... 150...
— All right.
— Kiedy mam przysłać po manuskrypt?
— Dziś.
— Dziś? Jest pan w wenie?

— Jestem. Zawsze po weronalu mam znakomity humor.

— Goniec przywiezie gotówkę.
— Ja myślę! Inaczej nie dostałby feljetonu!

— Straszny człowiek z pana. — A propos. Pod którym numerem pan mieszka?

— Pod I-ym, naturalnie. Także pytanie!
— Ulica Jacka Londona?
— Nie. Ulica Rudyarda Kiplinga. To Melchjor Wańkowicz mieszka przy ulicy Jacka Londona.

— Osiedle? Pan mieszka tam, gdzie Wacek Grubiński?

— Osiedle. Wacek Grubiński mieszka tam, gdzie ja.

— Merci. — Więc jeszcze raz: 120 do 150-ciu wierszy, zakupy świąteczne, prezenty dla ukochanej kobiety, kwiaty —

— ...perfumy, futra, auto, wiem.
— Czołem! Cześć!
— Czuwaj!

* * *

Moi drodzy .Teraz powinienbym Wam zacząć blagować o tem, jak pojechałem do Tytusa Kowalskiego i kupiłem żonie nurki. Jak pojechałem do Hersego i kupiłem żonie sortie. Jak pojechałem do Myszkorowskiego i kupiłem żonie sukienkę wieczorową. Jak pojechałem do Mankielewicza i kupiłem żonie bardzo ładny brylant. Jak pojechałem do General Motors i kupiłem żonie La Salle... Nic z tego. Redakcja „Siedmiu Dni" zrobiła mi kawał i strąciła, z honorarjum za feljeton, 50 złotych na poczet jakiejś zaliczki, którą mi (podobno) wypłaciła w maju. Wobec tego muszę im zrobić na złość. Przedstawię sprawę zakupów świątecznych zgodnie z rzeczywistością. Niech mają za swoje!



(rys. Ciechomski).

Po pierwsze, kupiłem do domu patentowany zatrzask Yale: nigdy nie zawadzi. Następnie, kupiłem łańcuch do drzwi: także nigdy nie zawadzi. Kazałem oba sprawunki (zatrask i łańcuch) zawinąć bardzo gustownie w bibułkę i obwiązać wstążeczką.

— Proszę cię, Duszko — powiedziałem do mojej żony, wręczając jej te upominki. — Oto jest zatrzask i łańcuszek. A kiedy się trochę zdziwiła, wyjaśniłem:

— Dawni rycerze ofiarowywali swoim żonom takie same prezenty. Niech ci się zdaje, że wyjeżdżam na wyprawę Krzyżową.

Włożyłem palto, wziąłem do ręki gruby, sękaty drąg, i udałem się w stronę tramwaju. Znalazłszy się w elektrowozie, zakomenderowałem:

— Do Langnera!

Konduktor (były literat: wszyscy na stare lata zostaniemy konduktorami) uśmiechnął się do mnie przyjaźnie:

— Pan kolega chciał powiedzieć; na Plac Teatralny?

— Tak jest, Panie Kolego.

Potem ruszyliśmy. Tramwaj jechał i jechał, koło okien przesuwały się pola i gaje, rozkopane bruki, glinianki, wądoły, miasta-ogrody... W pewnej chwili motorniczy gwałtownie zahamował. Uderzyłem podbródkiem w ramię sąsiadki.

— Pardon! — powiedziałem zażenowany.

— Nic nie szkodzi — uśmiechnęła się na to. — Jestem do tego przyzwyczajona. Rozgadaliśmy się. Przedstawiłem się damie. Żona literata, kolegi, jak się okazało przedwcześnie osiwiała (może mieć najwyżej 25 lat) pamięta czasy pierwszych pionierów w tych stronach. Osiedle bez światła, wody, kanalizacji, telefonów, tramwajów, policji, wymiaru sprawiedliwości...

— Jak sobie państwo radzili? — pytałem poruszony. — Sypialiście uzbrojeni?

— Owszem.

— A... inne mankamenta kulturalne? To musiało być straszne?

— Radziliśmy sobie jakoś... Zresztą, letnią porą zieleniły się rozległe pola kapuściane...

— No, a w razie napadów, gwałtów...?

— Sąd Lyncha.

W tem miejscu westchnęła, spuściła oczy i powiedziała, zlekka zarumieniona:

— Ale gwałt był, za mojej pamięci, tylko jeden...

* * *

Wracałem do domu późną nocą, bo u Langnera spotkałem przypadkowo kupę przyjaciół. Ciężko mi było wysiadać z taksówki. Prócz noża za pasem i dużego Colta (nie mówiąc o sękatym kiju, już wzmiankowanym) wiozłem przecież mnóstwo świątecznych sprawunków dla ukochanej kobiety.

— Jakich?

Służę, oto ich spis:

1. Siekiera.
2. Młotek i obcęgi.
3. Zwój drutu kolczastego.
4. Trzepak do dywanów.
5. 5 kg. gwoździ.
6. Balja.
7. Linka antenowa.
8. Aparat detektorowy.
9. Mapa okolic Warszawy.
10. Zapas prowizji i amunicji...

* * *

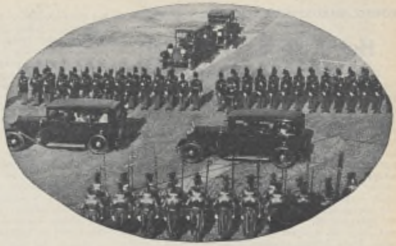
Żona rzuciła mi się na szyję.

— Jak to dobrze, że już jesteś!

Namiętny nasz pocałunek pokrył ponury chorał: wycie moich — i cudzych — psów.



Lotnicy angielscy, por. N. H. Jenkins i Jones Williams czynią przygotowania do lotu bez lądowania pomiędzy Anglją a Indjami. Lot będzie dokonany na aparacie Fairey (Motor Napier Lion 530 H. P.).



Włoska para królewska złożyła przed kilkoma dniami hołd Ojcu Świętemu w Watykanie. Podnieść należy, iż jest to pierwszy wypadek przekroczenia przez monarchów italskich granic Państwa Apostolskiego.



Konferencja rozbrojeniowa morska zostanie rozpoczęta w Londynie w połowie stycznia. Ekspertem technicznym angielskim, został mianowany adm. Sir Charles Madden, Pierwszy Lord Morski i szef sztabu marynarki Brytyjskiej. Na ilustracji widzimy admirała (z prawej strony) w chwili rozmowy z adm. Jellicoe.



Burza, szalejąca od kilku dni u wybrzeży angielskich i nad całą wyspą objęła znaczną część oceanu, wskutek czego okręty na pełnem morzu znalazły się w nadzwyczaj trudnej sytuacji. Rozpaczliwe sygnały S. O. S. krzyżują się bez przerwy, donosząc o szeregu katastrof. Ruch samolotów pasażerskich został wstrzymany.



Najbogatszy z władców Indji, Aga Khan zaślubił przed paroma dniami midinetkę paryską, p. Carron. Niezwykłe to wydarzenie jest sensacją dnia najszerszych sfer francuskich, zwłaszcza, iż szczęśliwa oblubienica nie jest ani zbyt urodziwą, ani młodą. Na fotografji widzimy Aga Khana podczas gry w golfa w Deauville.



W Aeroklubie francuskim odbyła się uroczystość ku czci asów lotnictwa Costes, Bellonte, Bailly, Reginansi i Mariot.



Marsz. Franchet d'Esperay w gronie uroczych jugosłowianek z chóru Clarbena Matica po akademji odbytej w Sorbonie.

KORNEL MAKUSZYŃSKI

Hej, Kolenda, Kolenda!

Pisząc ten tytuł, śpiewałem głosem wielkim i potężnym, jak dostojny szewc z Zapiecka w Świętojańskiej katedrze. Dlatego też czytelnik „7 dni" nie powinien tego felietonu czytać cicho, lecz baranim choćby głosem go wyśpiewać. Ukaże się on bowiem w tym dniu uroczystym, kiedy się tajemne w naturze całej dzieją sprawy: w takim dniu zwierz gada ludzką mową, jak owa oślica Balaama, a ludzie, podobno, stają się dobrzy i w słodkiem uniesieniu wszystkie nawzajem przebaczają sobie krzywdy, nie należy bowiem brać pod uwagę kilku odosobnionych wypadków, kiedy to bliźni bliźniemu życzy, aby się podczas świąt udławił rybią ością. Wtedy to indywiduum, zawodowo ponure, czytelnik nawet, staje się w sercu radosne, a kiedy mu imitacja wina, Złota Reneta, zaszumi w imitacji głowy, chętnie mi to wybaczy, co wypisałem w ciągu całego roku. Każda najpaskudniejsza nawet gęba, wymalowana w świątecznym numerze pisma, w dniu tym wyda mu się nadobną i pełną uśmiechów.

Łamiąc się tedy opłatkiem z miłym moim czytelnikiem, w chwili wzruszenia przyznać się muszę, że dlatego tyle w ciągu roku nieco oszalałych napisałem historji, aby polskiemu narodowi z kretesem nie spuchła wątroba. Taka jest bowiem dookoła „lubość aury" i taka „radość wszelkiego stworzenia", że czasem pragnąłby człowiek i bez serdecznych życzeń swoich przyjaciół sam się zadławić ością ze śniętej ryby. Taka ci bowiem dookoła jest wielka wśród ludzi miłość, że aż dziw bierze, iż o kilku niedobitkach z powszechnego pogromu nie powiedzieli dotąd i nie napisali, że są to złodzieje wielcy i wcale nie mali, homerycką mówiąc manjerą. Tyle jest bowiem słońca w duszach i w sercach radości, tyle uprzejmości i gotowości do usług wzajemnych, że jednego, co się w głos roześmiał publicznie i drugiego, co kobiecie w tramwaju miejsca ustąpił, zmiejsca odwieźli do Tworek, a jednego, co chciał niewinnie zażartować, kijem pobili po zdumionej niezmiernie głowie. O tem wszystkiem każdego poranka można przeczytać w gazecie. Ponieważ mam po babce sędziwy zbiór kolend, pozostawiony mi, zamiast majątku w słusznem mniemaniu, że pieniądze nie dają szczęścia, a odśpiewanie rzewnej kolendy napełnia spokojem wzburzone serce, — więc mi łatwo na każdą godzinę życia odpowiednią wśród nich znaleźć przyśpiewankę. Jeśli o gazety idzie, zaśpiewać można dyszkantem:

„Mój Macieju, ty nam powiesz,
Ponieważ ty sam wszystko wiesz!
Widziałem, widziałem śliczne widzenie,
Słyszałem, słyszałem anielskie pienie".

A cóż to takiego ujrzał miły redaktor Maciej? Bardzo ładne rzeczy: mąż zabił pogrzebaczem żonę i jej kochanka, a swego serdecznego przyjaciela, wnuk, zgrawszy się w totalizatora zadusił bogatą babkę, murarz wypuścił kiszki z szewca, szewc rozpłatał brzuch blacharzowi, myśląc, że to szczupak, czem się tak oburzył jeden krwisty rzeźnik na Ochocie, że na skorupki od jajek rozbił głowę nieznanemu człowiekowi bez zajęcia.

W wyższych sferach, aby żaden ze stanów nie był pokrzywdzony, też się czasem zdarzy rzecz radosna: oto jeden dyrektor ograbił bank, a jeden bank ograbił tysiąc ludzi, którzy nie byli — na swoje nieszczęście — dyrektorami; w domu schadzek, u takiej pani, którą Szekspir zowie panią Kwikli, przyłapano wytwornych gentelmanów i urocze ladies na tak niewinnej zabawie, jaką są studja ucieszne z anatomji porównawczej. Wiele pięknych historji wydarzyło się wśród górnych dziewięciu tysięcy, bo do sakramentalnej cyfry dziesięciu, na którą oszacowano angielski high life, jakoś nie możemy dociągnąć. Poza tem, w szerokim kręgu dantejskiego piekła ta się otruła, a tamten się zastrzelił; ten tego okradł „na konsula", tę „na kopertę", tamtego „na sekretarza". Czwarty przeczytał o tem wszystkiem, zastanowił się głęboko, żarliwie pomyślał i wynalazł dowcipny, lecz pełen serca sposób okradania „na wujaszka". Zawiedziona miłość oblała kochanka łzami, a inna, która nie ma skłonności do płaczu, oblała go kwasem pruskim.

Czy to nie jest piękne? Czy to nie jest bujne? Czyta sobie o tem wszystkiem człowiek uśmiechniony, czyta, czyta, aże nagle — krzyknąwszy przeraźliwie i nieprzytomnie, chwyta nóż i krwawem spojrzeniem tocząc, szuka, kogoby zarżnąć? Krwi! krwi! Ponieważ niema nikogo pod ręką, a do straszliwego Düsseldorfu zadaleko, więc rżnie miłego autora, sztukę, książkę, operę, wystawę, obraz, rzeźbę, — co się nawinie. Groźny okrzyk: „Na pohybel!" i z tatarska zezowaty i skośnooki okrzyk: „Kęsim!" — staje się zawołaniem towarzyskim, hasłem, zwołującem ludzi na zabawę, na której będą łamać kołem, przypiekać na wolnym ogniu serce, wbijać drzazgi dowcipów za paznokcie i kąsać w polędwicę. Rzeza śmiesznie ten tego, a tamten tamtego, aby radośnie kwitła twórczość. I takie zabawne płatają sobie wzajemnie figle, że kiedy jeden chce pracować, wtedy drugi, z wesołej pustoty, sypie mu piasek w oczy, aby sobie troszeczkę popłakał. Bo mogłaby się zdarzyć taka nudna historja, że się coś komu uda, a z tego nie byłoby żadnej zabawy. To też: „ho! ho! zabawa wre!" — jak śpiewa grobowym głosem z brzucha, zazdrośnik z „Opowieści Hoffmana". Ludzie wesoło się pienią i tak przezabawnie zgrzytają zębami, jakby gryźli orzechy na Boże Narodzenie.

„Każden pyta, co się dzieje,
Czy nie świta, czy nie dnieje?
Skąd ta łuna bije, tak miła oku?"

Co się dzieje? Nic takiego! Zwyczajne rzeczy, z których zbytnie nasze przeczulenie robi zaraz ogromnego słonia. A to źle, bowiem przedewszystkiem nie należy przejmować się byle czem i nie trzeba odrazu brać wszystkiego do serca. Uśmiechnij się przeto, dobry człowieku, kiedy ci napiszą w gazecie, że jesteś rzezimieszek, albo poprostu złodziej. Każdy wie o tem przecie, że to nieprawda i że takiej niewdzięcznej terminologji używa się jedynie dla skrótu. Zawsze lepiej to, że piszą, niż żeby nie pisali wcale. Ludzie są dobrzy, tylko czasem wpadają w szał, aby pobudzić w sobie krew do szybszego krążenia, czasem zaś w celach, istotnie wzniosłych. Mark Twain opowiada, że zajechał raz do takiego miasta, w którem się wszyscy niemiłosiernie bili, wytłukiwali sobie zęby, wyrywali włosy i wyłupywali oczy. — Na Boga! co tu się dzieje? — zapytał. — Nic szczególnego, panie! — odpowiedziano mu, — wybieramy sędziego pokoju!

W najlepszej tedy intencji wyrywamy sobie włosy, wybijamy zęby i t.d. A może jest to poszukiwanie nadczłowieka? Co tam znaczy wobec idei jakiś mizerny garnitur źle utrzymanych zębów, albo taki niemodny interes, jakim jest cześć ludzka? Od minionego Bożego Narodzenia po dzień dzisiejszy dowiedziałem się, że trzech moich znajomych było zaplątanych w nieczyste interesy, jeden okazał się masonem trzydziestego stopnia, (wedle Reaumura) — a jeden — najsprytniejszy szelma, — zdołał ukryć przez lat czterdzieści, że jego rodzony stryj ożeniony był z żydówką. Przez ten dopiero radosny rok, prawda przebijając ohydę kłamstwa, jak kurczę niewinne rozbija skorupę jajka, zdołała wreszcie wyjść najaw.

Przez dwa dni świąt i aż do Trzech Króli możnaby rozmyślać o tych sprawach promienistych, o tej radości nagminnej, którą smutkiem swoim mroczą ci, co gryzą suchy chleb, mieszkają pod mostem, i boskiego czekają zmiłowania. Upiory te, które mącą spokojną radość ludzi, pląsających po posadzce żywota, co roku o tym czasie dmą suchotniczym tchem w ledwie tlące się węgle nadziei, bo właśnie się rodzi nowy Bóg, może łaskawszy? Narodzi się, spojrzy słodkiemi oczyma na wielką ludzką nędzę, zapłacze gorzko i znowu o wiośnie umiera. I tak już jest od początku świata, a nie daj, Boże, aby było aż do skończenia świata. Ktoś nie je, aby jeść mógł ktoś. A ci, co nie jedli, najgorecej się cieszą, że jest Boże Narodzenie, bo się ma stać coś tajemnego, jakaś „wielka w naturze przemiana". Gdyby mieli choinkę, toby na niej powiesili najcudaczniejsze świecidełka: stężałe w srebro łzy. Zapalają się światła na ziemi i gwiazdy na niebie, a przez jedną, jedyną noc wszystkim się wydaje, że wielka łaska spłynęła na świat cały, co do gorejącego serca przyciśnie biedaków.

Posłałbym im Anioła, lecz czy mnie Anioł posłucha? Nie wielkie w niebie są wpływy moje. Znalazłem w mojej książeczce po babce taką jedną kolendę, której słowami mógłby do mnie przemówić: „O, rozumny osiołku, masz ty w ciele Boga?"

Że mi się z aniołem nie uda, więc słowom moim anielskie przypnę skrzydła, potem jak białe gołębie je spłoszę, aby tam poleciały, dokąd nigdy nie dolata słońce, gdzie nikt nigdy nie śpiewa, gdzie wierzą uparcie, że na świecie kiedyś sprawiedliwość będzie powszechna, gdzie dzieci mają stare twarze, a starzy ludzie nie mają już łez.

Bez rozczuleń! bez rozczuleń...

Przeto twardym już głosem śpiewam nędzy i biedocie ludzkiej piosenkę z mojego zbioru kolend:

„Tak ci jest, jak słyszę,
Sercem cię kołyszę,
Nie przestanę w tej miłości,
Póki stanie duszy!"

Cisza wielka spływa na świat, tak wielka, że słychać, jak drżą promienie gwiazd. Na wielkiej choince nieba zapala się Boże Narodzenie. Uśmiecham się do gwiazd i do ludzi... Miły Boże! Może i do mnie uśmiechnie się jaka gwiazda, a może taki wielki cud się stanie, że i człowiek jaki do mnie się uśmiechnie? Jeśli zwierzęta mówić umieją tej nocy, być to może, że i człowiek znajdzie uśmiech na dnie zgorzkniałego serca.

Na takie dziwo niebywałe, niema pieśni w moim zbiorze kolend. Sam ją ułożę... Ale lepiej będzie, żeby kto inny ją zaśpiewał.





K. Sichulski. Tryptyk.

Najmilszy podarunek



Na Gwiazdkę

KASETKI ELIDA

JERZY SOSNKOWSKI

Przygoda zimowa



Za zamarzniętemi szybami lśni złociste, radosne światło. To południowe słońce rozcienione w śniegach i lodach, drga w atmosferze pensjonatowego hall'u.

Lech rzuca złe spojrzenia w kierunku panny Zosi: i złe i pełne zachwytu, bo przesiane przez mroźne kwiaty słońce rozpyloną aureolą otacza jej złote włosy. I ona od czasu do czasu przemyca przenośny błysk tam, gdzie stoi Lech, ale flirtuje zarazem na potęgę z piszczałkowatym Czechem, którego rude, zrośnięte brwi upodobniają do bandyty.

Także gust! — Lech zaczyna być poważnie zły i wstydzi się trochę za Zosię i jest obrażony taką konkurencją.

Nagle rzuca w rozgadaną grupę:

— A ja pójdę osobno.

Wszystkie twarze zwracają się ku niemu.

— Jakto sam, panie Lechu? — pyta barczysty sportsmen, znany taternik, — jakto sam? Pan chyba nie wie co to jest wyprawa na tamtą stronę? To niebezpieczne, sam pan nie dojdzie, — a o lawinę nietrudno...

— Pójdę sam.

Pogardliwe wzdęcie ust panny Zosi doprowadza go do ślepego szału.

— Nic mi się nie stanie. Nie pierwszy raz chyba chodzę po górach, co?

— No tak, ale pozbawi nas pan wszystkich swego miłego towarzystwa...

— To mi dramat. Spotkamy się w schronisku.

I zaczyna majstrować koło swych ust.

Wycieczka młodych turystów wyrusza na nartach w góry. W tym samym, zgranym składzie co zawsze. Projektowana wyprawa jest trudna i dłuższa niż zwykle — mają przejść na drugą stronę, aż na Węgry.

Lech rano pokłócił się z panną Zosią. O drobiazg naturalnie, — ale te drobne nieporozumienia nabierają w ich rozumieniu cech katastrof dziejowych...

Więc Lech się buntuje — — trochę nierozsądnie — jeszcze bardziej go to złości, że czuje, iż jest nieco śmieszny.

Ale upiera się jak kozioł, prawdziwy kozioł skalny.

— — — — — — — — —

I poszedł osobno.

Wyruszył w dobre trzy kwandranse po wszystkich, — osobno, — choć panna Zosia, ociągając się do końca, spojrzała już całkiem inaczej. Chciał już choćby poskoczyć, przeprosić, skraść całusa, gdzieś w kącie i iść razem, ale jakże?

Zły był strasznie na siebie w rezultacie, ale cofać się nie wypadało. Panie patrzyły nań jak na bohatera, mężczyźni jak na człowieka zgubionego.

— — — — — — — — —

— — — — — — — — —

Już dwa razy odpoczywał. Zapas konjaku przerażająco się zmniejszył. I bułki z wędliną zjadł do ostatniej okruszyny.

Osiem godzin maszerował, a do schroniska, gdzie się spotkać mieli, było jeszcze daleko. Ogarniało go lekkie podejrzenie, że zbłądził. Góry, tutaj w głębi wyglądały dziko, posępnie.

Poważna i groźna panowała nad turniami i halami zima. Setki tysięcy klejnotów błyszczały wkoło, karne, równe szeregi smreków i sosen nieruchomymi, rytmicznymi, zorganizowanemi bataljonami stały na stokach, niby gwardja potężna, wierna, strojna w białe, wysokie czapy, zbrojne miljonem włóczni — gałęzi, zdobnych kitami jedwabistych igieł.

Rudemi sztychami dźgało zachodzące słońce szańce górskie, spływało potokami różnorodnej miedzi między wykroty i przepaście, kładło się pieszczotliwie na białej piersi połonin, drgało niespokojnie między zszarpanemi szczytami. Niebo stało jeszcze w pożodze, ale z tajemnych zakamarków gór już wypełzały na świat boży ponure cienie, — fioletowe, granatowe, szare. Niebieszczały śniegi, barwy walczyły ze sobą o lepsze. Roztopione złoto i głęboki granat toczyły bój, odbijając się w kryształach śnieżnych pyłów i było to tak cudne, że Lech westchnął z zachwytu. Przypomniał sobie jednak, że trzeba się śpieszyć. Tam, za tą granicą powinna być spadzista równina, na końcu której znajduje się schronisko. A dotrzeć do celu należy im noc spadnie na góry, bo nic przyjemnego nocować na ośmnasto stopniowym mrozie.



(fot. Wieczorek)

(Ilustracja M. Walentynowicza).

...*Wysokie czapy z zatkniętemi sokolemi piórami. Warkocze czarne, połyskujące od tłuszczu, twarze ciemne, ponure...*

Więc, korzystając z terenu, puścił narty.

Pęd zmroził mu twarz, w uszach zaświtało. Zdało się, że nagle tłum zimowych zjaw zaroił się wokół niego i gnał razem, drąc spokojne, mroźne, osiedziałe powietrze niewidzialnemi ciałami.

Wonny oddech gór i śniegów wypełniał piersi, czuł się jak ptak zlatujący z wyżyn.

Lekki szelest sunących nart radośnie pieścił słuch, oczy brały w siebie cudną pieśń kolorów.

Zgiął nogi w kolanach, wznosił się teraz po łagodnym stoczu, siłą rozpędu, — i za chwilę stanie na przełęczy, a stamtąd ujrzy dalekie schronisko, gdzie czeka niespokojna, napewno, Zosia. Niech się przynajmniej trochę namartwi za swoje kaprysy.

Nagle zahamował raptownie i okrzyk zdumienia wydarł się z pomiędzy warg.

Przystanął i przetarł oczy.

To wcale nie był widok, który się ujrzeć spodziewał. Czyżby rzeczywiście zbłądził? Ale chyba nie, przecież tę drogę znał doskonale, ileż razy tędy chadzał i to o każdej porze roku!

Stocze, miast stać się łagodnie idealnym narciarskim terenem, spadało gwałtownie, postrzępione i zdradzieckie. Nie widać było jego końca... Porozsypywane grupy drzew wyglądały tak, jakby przeszedł tędy niedawno huragan. Były potworne, wielkie, powykrzywiane. Rospacznie przeciągały się zewsząd konary ku niebu. Krajobraz obejmował skały, łudząco podobne do starych ruin. Na prawo, jakby pięć baszt zębatych, na lewo — zamczysko rozległe, ze zwodzonym mostem, szeregi tarasów niby gigantyczne ławy amfiteatru olbrzymów.

Od dołu dźwigał się ociężały potwór mroku. Coś złego, podstępnego czaiło się w kłębach szarej nito mgły, nito chmury. Jakąś grozą wiało z nieprzejrzanego dołu.

Lechowi zabiło mocniej serce. Miał wrażenie, że zawędrował niespodziewanie *w czas*, że raptem został przeniesiony w odległe, dawne czasy, — kiedy jeszcze góry tatrzańskie nie wyglądały tak jak dzisiaj. Dzika pustka stała wokół...

— — — — — — — — —

Otrząsnął się przemocą z niemiłego wrażenia, sprawdzał rzemyki nart i ruszył w dół. Może mu się to tylko tak wydaje? Coś w rodzaju halucynacji na tle całodziennego zdenerwowania? Wszystkiemu temu winna Zosia, oczywiście.

I znów wziął pęd.

Ale raz i drugi potknął się o ukryte pod płytkim śniegiem korzenie Zboczył nieco, wydawało mu się, że teren jest tam trochę równiejszy.

I naraz zrobiło mu się ciemno w oczach, poczuł szalony ból w prawej nodze, a w usta i w nos wbiły się wielkie pecyny śniegu.

Leżał pod olbrzymiem drzewem.

Siadł i pokiwał głową melancholijnie. Stało się! Spojrzał — prawa narta była doszczętnie strzaskana. Poruszył nogą i aż zawył z bólu. Ładna historja! Noga conajmniej zwichnięta.

Przeraził się teraz zupełnie. Cóż to będzie? O dalszej drodze ani myśleć, — a gdzie tamci?

Blade widmo śmierci mignęło mu przed oczyma między omszałemi pniami.

— — — — — — — — —

Hukał od czasu do czasu.

Wychylił resztę konjaku. Wypalił cztery papierosy i, o losie! Zostały mu tylko dwa!

Na szczęście, było mu ciepło. Sierść wielbłądzia, z której miał sweater, nie puszczała wrażego mrozu. Ułożył się, jak mógł najwygodniej, — sycząc z bólu przy każdym ruchu, zgarnął śnieżną poduszkę pod chorą nogę, oparł się o gruby pień i czekał z filozoficznym spokojem. Ciemność szła coraz gęstsza. Już ledwie rozróżniał kontury drzew...

Zwidły jakieś jęły przewijać się spoczątku zdala, nieśmiałe, potem coraz bliżej i bliżej...

Dreszcz przejął mu piersi. Wrzasnął z całych sił, aż ozwało się kilkakrotnie echo.

Nadsłuchiwał. Głucha cisza leżała w górach.

Przymknął oczy — — i otworzył je czemprędzej, bo zbyt wiele mu to sprawiało przyjemności, a wiedział, że sen — to śmierć niechybna.

Lecz za chwilę powieki opadły mu same. Walka z ogarniającą sennością zaabsorbowała go teraz całkowicie.

Nagle zachrzęściał śnieg pod czyjemiś, ciężkiemi krokami. I znów cisza.

Chrzest się powtórzył, — bliski i gęstszy, jakby przez kilka istot sprawiany.

Strach zjeżył włosy na głowie Lecha.

Raptem z czarnej nocy wytrysnął płomyk. Zazgrzytało krzesiwo, zatliła się hubka, zaświeciła smolna gałąź.

Szeroko otwarł Lech oczy.

Nachylało się nad nim sześć dziwacznych postaci.

Wysokie czapy z zatkniętemi sokolemi piórami. Warkocze czarne, połyskujące od tłuszczu, twarze ciemne, ponure. Błyszczące oczy.

Szyte bogato cuchy. Portki cyfrowane. Na piecach topory. Za szerokiemi połami, zdobnemi mosiężnemi kółkami, pistolce i głownie noży. Na szyjach poczwórne sznury niedźwiedzich pazurów...

Zdumiał się.

Zbójnicy.

Teraz, w tych czasach?

Poznał ich ze starych rycin, sztychów, z obrazów Skoczylasa wreszcie. Cóż to za maskarada? Tak się nosili zbóje tatrzańscy trzy stulecia temu.

Zjawa nie znikała.

Zaświecono więcej gałęzi. W ich blasku wystąpili zupełnie wyraźnie i Lech zatrząsł się nagle z obrzydzenia. Wpatrywał się weń herszt — wyższy od innych, bogaciej ubrany. Zrośnięte brwi rude i wyraz oczu, — były kubek w kubek podobne do tego świszczypały, tak zawzięcie emablującego Zosię w hall'u pensjonatu. Patrzył na Lecha ironicznie i złowieszczo zarazem.

Niezrozumiała nienawiść targnęła Lechem, zabijając na moment zdumienie.

— — — — — — — — —

— Stańże, cobym cie nie sturknon. To, ci se zadzimoł.

— Coście za jedni? Czego chcecie odemnie?

Odpowiedział mu gruby rechot śmiechu. Poglądali na siebie, rozbawieni.

— My som zbójniki. Ledwośmy cie docucili. Wej ci się nom cudak trefił? Od kieloś ty.

— Gdzie my jesteśmy, co to za miejsce? — dopytywał Lech.

— Niedaleko Orawy. Idziemy na zbój.

— Orawy?

— Ba!

Lech wzruszył ramionami.

— No, to pomóżcie mi się ztąd wydostać. Nogę zwichnąłem.

Zbliżył się któryś i podparł go ramieniem. Wstał lekko. Noga go nie bolała ani trochę. Tupnął raz i drugi, — w porządku. Roześmiał się. Odrazu mu wróciła cała fantazja. Tylko jeszcze nie orjentował się w sytuacji. Tamci przyglądali mu się ciekawie.

— Wyprowadźcie mnie gdzieś na jaką drogę. Tu niedaleko powinno być schronisko. Niewidzieliście ludzi, turystów?

Znowu rechot.

— Popuściało cie kielo telo? Tu nik nikaj nijokich ludzi nie widzioł. I s wieku ik nie bewało. Cheba tam, u dołu. W mieście.

— W jakiem znowu mieście?

— Orawie. Tam idziemy.

Lech z rezygnacją pokiwał głową. Nie dogada się z nimi. To już wiadomo, zbłądził. Niechaj go więc doprowadzą byle gdzie, byle między ludzi. Stamtąd już trafi nazajutrz do schroniska. Całe szczęście że z tą nogą jest dobrze.

Górale szeptali coś między sobą.

— Widzi mi się fajny. Niek idzie ś nami, wy jako?

— Wiera.

Herszt zwrócił się do Lecha.

— Śmiałyś?

Lech się roześmiał, tak zabawnem mu się wydało to pytanie. Hersztowi oczy błysnęły i przysunął się bliżej.





(fot. Wieczorek).

(Ilustracja M. Walentynowicza).

...Miasteczko pogrążone było we śnie. Wtem oblało ich światło. — Zza węgla chaty nagle wyłonił się stróż nocny...

— Idziemy na kupców. Oni tam piniondze mają sowane do komór. Syćko nasze bedzie. Bierem cie do kompanji. Podzielim po równu. Przistajesz?

I wyciągnął olbrzymią łapę.

Lech pomacał się za puls czy nie śni. Ta propozycja wspólnego rozboju zaskoczyła go ostatecznie, ale jednocześnie zainteresowała. Ot, przygoda! — pomyślał sobie, — tylko to nieszczęście że mi przecie nikt nie uwierzy jak zacznę opowiadać!

Uczuł się przeniesiony w jakiś świat z bajki. Nareszcie działo się coś niezwykłego, niecodziennego! I prawie nie wiedząc co robi, plasnął prawicą w rozwartą dłoń zbójnika.

— Toś chłop! — rzekł herszt z zadowoleniem.

Dali mu starożytny pistolet, rożek z prochem, woreczek z kulami i ciężką żelazną ciupagę. Obejrzał ją ze znawstwem.

— No, takim obuchem dać komu w łeb, to pewny trup, — mruknął.

I poszli.

— — — — — — — — —

Już nawet nie rozmyślał nad przedziwnemi zdarzeniami. Dziwna drętwość opanowała mózg, zaczęło mu się to wszystko wydawać normalnem i zwykłem. Sunął lekko na nartach (okazało się że strzaskana łyżwa cudownym sposobem stała się z powrotem cała) nurzając się w mrokach. Patrzył z podziwem na narty zbójników. Były bardzo krótkie ale szerokie, z wysoko podwiniętemi nosami. Cały system łyka utrzymywał je przy stopie. Sunęli cicho, jednostajnie, rytmicznie.

Trwała ta podróż może godzinę, może dwie, aż herszt zatrzymał się nagle, kładąc palce na ustach.

Na jego niemy rozkaz poodpinali narty, chowając je pod spory krzak. Lech poczuł pod stopami utarty szlak, zjeżdżony widać przez sanie. Byli więc blisko celu, sądząc z ostrożnego zachowania się górali. Stąpali ostrożniej i wolniej.

Zamigotały słabe światełka domów, a niebawem wyrósł przed nimi ciemny zrąb pierwszej chałupy.

Miasteczko pogrążone było we śnie.

Skradali się od domu do domu, wąską uliczką. Szli widocznie na upatrzonego, gdzieś gdzie zdobycz miała być najbogatszą.

Wtem oblało ich światło. Zza węgla chaty nagle wyłonił się stróż nocny.

Lech krzyknął ze zdumienia.

Miał ów człowiek na sobie strój pachołka miejskiego z wieku XVI. Szeroka opończa majdała się na wietrze, wielka okratowana latarnia na długim kiju rzucała światło mdłe, lecz dostateczne na to, by go mógł obejrzeć od stóp do głów. W drugiej ręce trzymał wielką halabardę, której ostrze i topór połyskiwały wyraźnie wypolerowaną stalą. U pasa wisiał róg, po który teraz, zaskoczony niespodzianym spotkaniem, sięgnął pośpiesznie. Ale nie zdążył go ująć i zwalił się na śnieg z głową rozwaloną potężnem uderzeniem ciupagi jednego ze zbójów.

— Cie — pochwalił szeptem herszt.

I uchylił jakieś drzwi, wpychając Lecha do wewnątrz. W sklepionej sieni pełgał leniwo ogienek kaganka. Musiało to być mieszkanie jakiegoś bogatego mieszczanina czy kupca. Masywne, gęsto kute skrzynie stały pod ścianami, z kąta błyskała żelazna zbroiczka, — wschodnie makatki zdobiły ściany.

Herszt zapukał do wąskich drzwi, wiodących w głąb mieszkania.

Rozległ się lekki kaszel i czyjaś ręka uchyliła je nieco, odsunąwszy rygle. Wsunął natychmiast stopę za próg i pchnął mocno. Trzy okrzyki przerażenia zabrzmiały w ciemnej komnacie. Któryś porwał kaganek i wzniósł go wysoko. Rudobrewy góral chwycił postać w bieliźnie i zdusił okropnie, aż z nad czarnej brody wybiegł cichy charkot. Reszta rzuciła się w milczeniu, jak wilki, ku innym postaciom, zeskakującym z zasłanych skórami ław z popod ścian.

Lech nie miał żadnego zamiaru brać udziału w mordzie. Dostrzegł drzwiczki jakieś i pchnął je, wpadając do wnętrza.

Stanął jak wryty.

Pośrodku alkierzyka, oświetlonego jasno sporym oliwnym kagankiem, tkwiącym w ścianie, — przy wysokim klęczniku stała — panna Zosia.

Tak! To była Zosia! Troszeczkę inna, — rozpuszczone złote włosy spływały na białe giezło, dłonie stulone na białej piersi ściskały rzeźbiony różaniec. Pełne przerażenia spojrzenie utkwiła w Lechu, i osunęła się na kolana.

— Litości, dostojny panie, — daruj życie mnie i ojcom! Bierzcie wszystko co chcecie, — tu zdjęła łańcuch złoty z szyi i przeciągnęła go błagalnym ruchem — wskażę wam gdzie ociec chowa złote i srebrne monety, wszystko wam oddam, tylko puśćcie żywo!

Lech stał jak skamieniały.

Wtem wielka, obrośnięta łapa wysunęła się z poza niego i zmierzała wprost ku włosom dziewczyny.

(Dokończenie na str. 36-ej).

ANTONI BOGUSŁAWSKI.

NA GRANICY

Jak ongiś w rzuconych na dalekie kresy stepowe fortalicjach, które unieśmiertelnił obrazem stanicy chreptiowskiej Sienkiewicz, tak i dziś, wzdłuż całej wschodniej granicy, osadziła Rzeczpospolita w strażnicach wojskowych korpus ochrony pogranicza.

Okrągłe czapki z granatowemi otokami zdobyły sobie wkrótce zasłużoną sławę w tym kraju, który — niezupełnie słusznie — chrzcimy mianem „kresów". Jak na kresy bowiem — kraj ten jest zbyt rozległy wszerz. Możnaby inną nazwę wyszukać dla połaci kraju, kończącej się na zachód linją Bugu. Jedno tylko nazwę tę uzasadnia: kres to nietylko Polski, ale i świata cywilizowanego. Dalej — gwałt, dzicz i barbarzyństwo.



Na straży granic Rzeczypospolitej.

Barbarzyństwo to, popychane bagnetem Moskwy i kradzionem złotem 3-ej międzynarodówki, przelewało się długi czas bezkarnie przez polską granicę. Zaprzysiężone traktaty musiały być niczem, skoro niedawno jeszcze jeden z miarodajnych prowodyrów bolszewizmu zaryzykował publicznie cyniczne zdanie: — Dopóki znajdują się na świecie głupcy, którzy wierzą naszym przyrzeczeniom, musimy przyrzekać...

W „dymie pożarów i kurzu krwi" nauczyła się Polska, co ma o tych przyrzeczeniach sądzić. Umocniła się na swej nieobronnej granicy murem wiernych piersi żołnierskich i, nie oddając nawet wet-za-wet, bo to przeciwne byłoby godności narodu, szanującego swój podpis, potrafiła nakazać respekt dla słupów z godłem państwowem.

Od granicy rumuńskiej, aż do granicy Prus Wschodnich bieży długi łańcuch niezawodnych widet, chroniących kraj spokojny od Rosji i Litwy. K. O. P. ma odziały piesze i konne, wyszkolone wybornie w twardej pracy na pograniczu, należycie okryte, rekrutowane z najtęższego moralnie i zawodowo żołnierza. W ciągłej służbie patroli i zwiadów ogorzeliżną powlekają wichry, młodzieńcze lica. Szkoła K. O. P.-u jest dobrą szkołą.



Strażnica kresowa.

Dopiero od chwili, kiedy zdecydowano się niewystarczające siły policji państwowej zastąpić oddziałami wojskowemi, wzięty pod ich opiekę kraj odetchnął swobodnie. Bandy dywersantów przestały po nim hulać bezkarnie, rabować, mordować i palić; przemytnictwo doznało poważnego szwanku. Jednocześnie urosła powaga państwowości polskiej i szacunek dla jej praw. Nie potrzeba było więcej, aby znękaną i w niepewności jutra żyjącą ludność miejscową przekonać o tem, gdzie leży jej przyszłość.

W procesie zespolenia kresów granicznych z macierzą K. O. P. odgrywa ogromną, może dotąd niedocenianą rolę. Samo jego istnienie i żmudna, codzienna, często niebezpieczna, służba jest argumentem bardziej bezspornym, niż wszystko, coby się dało o tej sprawie powiedzieć. Ponadto ma on jeszcze inną misję do pełnienia — i misję tę spełnia wybornie.

Wyobraźmy sobie zapadłą, nadgraniczną wioskę poleską, błotami odgrodzoną od świata, i zobaczmy w niej garść ludzi, związanych dyscypliną wojskową, ożywionych ideą, znacznie — o niebo — kulturalniejszych od otoczenia i mających do rozporządzenia pewne możliwości materjalne, choćby bardzo skromne. Zetknięcie się tych dwu światów — miejscowego, drzemiącego w pierwotnem uśpieniu, i przybyłego — już samo w sobie musi być dla tuziemców epoką. Nie mówmy już o takich rewelacjach, jak kino lub radjo, ale weźmy tylko pod uwagę ład, czystość i pracę. Oddziały K. O. P.-u promieniują nazewnątrz i zyskują sobie coraz więcej szacunku u różnych leśnych i błotnych ludzi. Tem więcej, że dbałość o strawę kulturalną żołnierzy była i jest w K. O. P.-ie bardzo wielka. Dowództwo zdaje sobie wybornie sprawę, iż rzuconym aż na daleką granicę podkomendnym trzeba dawać więcej i intensywniej, niż zwykłym oddziałom. Z pomocą od wielu lat przychodzi K. O. P.-owi zasłużony w pracy kulturalnej Biały Krzyż. Świetlice jego idą wślad za strażnicami, a byłyby gęściej jeszcze rozsiane, gdyby towarzystwo posiadało większe środki materjalne. Na tę jednak — chcemy wierzyć, że przejściową — biedę życia polskiego, tu nawet dobrej rady dać nie możemy.

Żołnierz K. O. P.-u, jak każdy żołnierz „na froncie", ceni sobie wysoko nawet drobny dowód pamięci z kraju. Jest to dla niego wskazówką, że praca jego zyskała należyte uznanie. Książka, paczka z podarunkiem gwiazdkowym czy wielkanocnym, list, artykuł czy fotografja w gazecie — wydawnictwa nasze nie oceniają, że tam, na granicy, mają najwdzięczniejszych i procentowo bardzo licznych czytelników — wszystko to przyjmowane jest całem sercem. Nie skąpić dzielnym żołnierzom K. O. P.-u tej skromnej pociechy — jest naszym obowiązkiem. Przecież dzięki nim tylko czujemy, że nasza granica wschodnia jest naprawdę granicą państwa, a nie luźną linją demarkacyjną, podległą sferze wrogich Polsce wpływów.

Obowiązkiem więc każdego jest przyczynić się, czem może, do umilenia obrońcom kresów nadchodzących świąt Bożego Narodzenia. Przy wieczerzy wigilijnej i ku nim powinna poszybować nasza myśl. Dzieci nasze powinny wiedzieć, że tam, na wschodzie, całe oddziały polskich żołnierzyków stoją z bronią u nogi, aby one mogły spokojnie cieszyć się świecącą choinką.

„7 dni" nie chce zostać za innymi. Łączy się całem sercem z niezmordowanymi wartownikami i, jak opłatkiem, dzieli się z nimi braterskiem słowem.



Po smaczny obiad...

TRĘBACZU NASZ

PIEŚŃ SZWADRONÓW K. O. P-u.

Trębaczu nasz, co alarm grasz,
nim urywany sygnał dasz
na trąbce do galopu,
wbok z koniem skręć, fatygi szczędź:
nie przebrzmi echo — w minut pięć
już pędzi szwadron K. O. P.-u!

Chłop w chłopa — zuch, wart każdy dwóch;
w stu szablach tkwi jedyny duch,
a z siarki i z ukropu!
Gdyś zmokły śledź, to doma siedź!
Nie będziesz tej ochoty mieć,
co ma ją szwadron K. O. P.-u!

Rów, jar czy błoń, bór, mszar czy toń —
dzielnego jeźdźca tęgi koń
wyniesie i z potopu...
W rozstajach dróg prowadzi Bóg,
by zawsze w porę dobiec mógł
z odsieczą szwadron K. O. P.-u!

Gdzie krew i lęk, gdzie mord i jęk,
gdzie z bratniej chaty — iskier pęk
wybija się od stropu,
nim zbójca znikł, piorunem, wmig
doskoczy, wczepi się, jak żbik,
we wroga szwadron K. O. P.-u!

Antoni Bogusławski







GODNE POCHWAŁY



Widok ogólny zabudowań warsztatów samochodowych „Tatra".



Cabriolet 4-cylindrowy.



Limuzyna 4-cylindrowa.

Znana fabryka samochodów „Tatra", która niespełna przed rokiem zakupiła obszerne tereny przy ulicy Czerniakowskiej 205 w Warszawie, ukończyła niedawno budowę warsztatów fabrycznych oraz budynków dla swoich monterów i ich rodzin.

Monterzy ci, rekrutowani z pośród zdolniejszych robotników polskich, byli wysłani na koszt



Fragment jednego z budynków.

firmy do głównej centrali fabryki w Koprzywnicy (Czechosłowacja), skąd powrócili do kraju jako gruntownie wykwalifikowany personel.

Dzięki temu fabryka samochodów „Tatra" zyskała bodaj że najlepszą obsługę samochodową w Polsce.

Nakładem wielkich środków pieniężnych zastosowano w warsztatach nowoczesne urządzenia, jak centralne ogrzewanie, jadalnię dla robotników, umywalnie oraz elektryczną instalację. Urządzenia te pozwalają na zorganizowanie pracy w warunkach nader higjenicznych, których brak daje się odczuwać w wielu innych fabrykach.

Piętrowy warsztat, garaż oraz specjalny skład na części zapasowe, utrzymywane we wzorowym porządku i czystości, sprawiają miłe wrażenie nie tylko na klijentach, ale i na pracownikach, co wpływa dodatnio na zwiększenie się wydajności pracy.

Elektryczny dźwig ułatwia wszelkiego rodzaju remonty.

Fabryka samochodów „Tatra", która dzięki niestrudzonym wysiłkom i troskliwości zarządu, potrafiła w tak krótkim przeciągu czasu zorganizować nową, pożyteczną placówkę dla kraju, rości najpiękniejsze nadzieje na przyszłość.

Podnieść przytem należy, że naczelny dyrektor



Dźwig elektryczny do piętrowego garażu.

na Polskę fabryki samochodów „Tatra", p. inż. Hugo Spacek, pierwszy zrozumiał potrzeby robotnika, dzięki czemu cieszy się miłością i szacunkiem podwładnych oraz uznaniem wśród społeczeństwa.

Należy przytem dodać, że fabryka samochodów „Tatra" zatrudnia u siebie prawie wyłącznie Polaków.



Fragment warsztatów.




47-a zaleta pióra Parker Duofold!

Wszyscy znają 46 zalet i ulepszeń, które zastosowano po długich próbach laboratoryjnych do piór Parker Duofold.
Teraz ogłaszamy z kolei 47-ą zaletę tych świetnych piór. Jest nią możność szybkiego pisania dzięki lekkości naszego pióra, wykonanego z masy permanitowej. Masa ta jest lżejsza o 28% od wulkanitu, z którego są wykonane pióra wieczne innych firm.
Dajemy Wam najdoskonalsze wieczne pióro wświecie. Dotąd 17,000,000 osób pisze piórem Parker Duofold ku największemu swemu zadowoleniu.
Zwróćcie uwagę również i na inne zalety naszych piór jak: nie tłukąca się obsadka, podwójna nie przepuszczająca atramentu pochewka, zbiornik, zawierający b. dużo atramentu, złota stalówka, gwarantowana na 25 lat użytku, 5 wspaniałych kolorów i cztery rozmaite wielkości do wyboru— oto niektóre tylko z licznych zalet piór Parker Duofold.

SENIOR zł.80,—
SPECIAL zł.70,—
JUNIOR zł.60—
LADY zł.55,—

Parker Duofold

Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych sklepach materjałów piśmiennych:

Generalne przedstawicielstwo na Polskę i na w. m. Gdańsk oraz sprzedaż hurtowa:

A. J. Ostrowski, Łódź, Piotrkowska, 55, tel. 3-54,

Oddział w Warszawie, Bielańska, 18, tel. 119-82

First International

Sirax

NIEZBĘDNY PROSZEK
do Czyszczenia wszelkich PRZEDMIOTÓW DOMOWYCH i KUCHENNYCH jakoteż do MYCIA RĄK
DO SZOROWANIA

Do CZYSZCZENIA METALI SZYB i LUSTER tylko:

Sidol

MAURICE DEKOBRA. (3)

W kraju Maharadżów

DWUNASTOLETNIA WDOWA

Copyright Agence Littéraire Internationale Paris.

Jadąc pewnego dnia konno z adjutantem maharadży z Patjali, spotkaliśmy na drodze, niedaleko świątyni Sikhów, dziwaczny, w dwa konie zaprzężony wóz, podobny z kształtów do zamkniętej karocy; na tylnej części wozu stał lokaj w turbanie. Okna były zamknięte. Firanki spuszczone. Spojrzałem na adjutanta. Odpowiedział mi z prostotą:

— *Purdah...*



W apartamentach niewieścich indyjskiego pałacu *(fot. Warsz. K. S. A.)*

Chciał przez to powiedzieć, że w tem pudle była zamknięta jakaś pani. W Indjach bowiem kobiety, jeśli są muzułmankami, podlegają, jak ich arabskie siostrzyce, prawu *purdahów;* podczas gdy adeptki buddyzmu, jainizmu, brahminizmu i innych czysto hinduskich sekt podlegają regułom *zenany.*

Jaka więc jest, dokładnie biorąc, sytuacja kobiet w Indjach?

Niektórzy świeżo przybyli Europejczycy pytają naiwnie:

— Czy wdowy idą w dalszym ciągu na stos, na którym spala się zwłoki ich zmarłych mężów?

Wiedząc wprawdzie, że sprawię tem rozczarowanie amatorom romantyzmu, odpowiadam, że prawo *sati* zostało zniesione. Wdowa hinduska nie rzuca się już za mężem swym w płomienie, chyba, aby uległa atakowi rozpaczy, graniczącej z szałem. Naogół, — wdowa przeżywa swego męża. Położenie jej nie jest wprawdzie świetne, ale znosi je mimoto. Dawniej sytuacja wdowy, która nie miała odwagi rzucić się za mężem w płomienie, była wprost niedowytrzymania. Cierpiała poprostu za to, że jej mąż umarł wcześniej, niż ona. Mając, naprzykład, lat dwanaście, zostawała wdową, a nie mając odwagi spełnienia nakazu *sati,* skazywała się na całe życie na pogardę i cierpienia; uważano ją bowiem za kobietę opętaną przez złe duchy.

Dzisiaj dopuszcza się wdowę hinduską do świata żyjących. I należy nawet stwierdzić, że rodziny zamożniejsze, kulturalne i nie patrzące na modernizm niechętnem okiem, przyjmują z pełnem zrozumieniem swe córki, którym się zdarzyło nieszczęście wdowieństwa. Niekiedy jednak skazaną jest mimoto na wieczne wdowieństwo, jak to np. ma miejsce śród kasty brahmanów, przestrzegających fanatycznie tradycję, albo śród dwóch innych najwyższych kast, Kszatryasów i Waiszjasów. Inaczej już rzecz ma się u Sudrasów, reprezentujących zresztą jedną z licznych kast niższych. Drobny kupiec, rękodzielnik, czy rolnik wchodzi dziś często w związek małżeński z wdową, nie troszcząc się o zemstę złych bogów.

Jak z wdowieństwem, tak samo sprawa przedstawia się z *purdahami* i *zenanami.* Czas i tu poczynił pewne wyłomy, a prawa wieków przeszłych nie są przestrzegane z tą samą bezwzględnością, co dawniej. Zwiedziłem cały szereg miasteczek, oddalonych od wielkich miast; miasteczek, w których biały człowiek jest rzadkim gościem. Idąc uliczkami, przy których stoją rzędami niskie i małe domki, spotykałem kobiety z odkrytemi twarzami, noszące swe *sari* powyżej oczu. Kobiety te nie należały zresztą do *zenany.* Miljony kobiet, żon rolników, pracują już w otwartem polu. Przechodzą uliczkami w kołyszących się ruchach, nosząc na głowach amfory lub sakwy skórzane. Mają w sobie coś królewskiego, chód ich jest elegancki, zrównoważony, harmonijny. Czarne płótno podkreśla owal ich twarzy. Mały złoty pierścień zdobi lewą stronę nosa, niekiedy obie strony nozdrzy przekłute są fałszywemi brylantami.

Dokładne przestrzeganie reguł *purdahu* lub *zenany* jest więc niejako przywilejem jedynie kobiet dobrze urodzonych, kobiet, które wyszły z kast wyższych. Ale i tam jeszcze należy rozróżniać. Z jednej więc strony są żywioły reakcyjne, fanatyczki tradycji, które podróżują w grobowcach, toczących się na kołach, jak ta pani, o której wspominałem wyżej, z drugiej strony są kobiety wyzwolone, idące z postępem czasu, nawrócone wyznawczynie poglądów zachodnich, gotowe zkolei nawracać swe siostrzyce...

Z tak wrogich sobie tendencyj wyniknąć musiała oczywiście pewna walka moralna, nader ciekawa dla Europejczyka, bezpartyjnego świadka owego pojedynku duchowego. Ortodoksi, konserwatyści i nacjonaliści, czyli t. zw. *pandi,* powiadają do emancypowanej młodej Hinduski, drukującej wiersze w czasopismach bengalskich:

— Jesteście tylko papugami, otumanionemi nową zabawką z Zachodu. Małpujecie Europejkę.

A młoda poetka, idąca ze swemi angielskiemi przyjaciółkami na herbatkę, pisząca wiersze, którychby się nie powstydziła pani de Noailles, odpowiada.

— A wy jesteście spóźnionymi wrogami postępu, liszkami, które się nie chcą rozwinąć. Znajdujemy się w twierdzy, otoczonej murem od czterech tysięcy lat... Nie zapominamy wprawdzie o szacunku dla naszej schedy duchowej, ale chcemy stąd wyjść, by, jak inne kobiety wschodnie, korzystać z wartości, jakie przynosi nam cywilizacja europejska... Niech żyje wolność! Przeznaczeniem naszem nie jest wygłupiać się przed turystami z Europy, pokazując im tysiącletnie obyczaje; naszym celem nie jest pozostawanie w *zenanach*, do których zaciekawione Amerykanki przychodzą, jak do ogrodu zoologicznego, spoglądając na nas, jak na rzadkie okazy jakiejś menażerji!... Bohaterki Z jakich więc sfer rekrutują się Hinduski intelektualne? Z dziewcząt osiemnastoletnich, które tutaj są już uważane za stare panny, z kobiet owdowiałych i z dzieci rodziców wyzwolonych z przesądów. Studjują medycynę lub filozofję, szczególnie jednak medycynę, gdyż nigdy Hindus nie pozwoliłby lekarzowi przystąpić do swej chorej żony.

Pewnego dnia odwiedziłem wraz z jednym urzędnikiem angielskim z okręgu Lahory znajomego Pendżaba, którego żona cierpiała na zapalenie ślepej kiszki. Mąż jej powiedział nam podczas rozmowy:

— Zabiłbym człowieka, któryby zgwałcił mą żonę... Ale pokrajałbym na drobne kawałki mężczyznę, któryby odkrył jej brzuch, by przeprowadzić operację...

Tymczasem, z braku lekarki, nieszczęśliwa kobieta, wijąc się w boleściach, umierała na skutek ataku ślepej kiszki.

Historja tego kraju zna pomimo *purdahów* i *zenany* cały szereg znakomitych kobiet: Lilavati, która była Curie-Skłodowską swojej epoki; Rani Bhavani, rodzaj hinduskiej Jeanne Hachette; Mira Bai, która, za panowania wielkiego Mogola Akbara, pisywała świetne poezje.

Podczas gdy czytałem kilka z pośród jej pięknych wierszy, wydanych w Kalkucie, jeden z mych przyjaciół, *babu* z okularami w złotej oprawie i z dłońmi tak zwinnemi, jakby nie był uczonym, lecz czarodziejem, powiedział mi, z owym miękim akcentem, z jakim tylko Hindusi umieją mówić po angielsku:

— Co pan powie po przeczytaniu tej książki na to, że nauczyciel tej poetki pisał: „Pragniesz zbawienia? Odwróć się od kobiety i od złota!"

— Gdybyśmy, mój przyjacielu, byli w Paryżu, odpowiedziałbym, że wasz asceta miał rację i że wolno zbliżyć się do kobiety tylko wtedy, kiedy się ma wiele złota; ale pod błękitnem niebem Pendżabu ironja, zwyciężona, topnieje, więc powiem ci całkiem poważnie, że całe złoto świata nie warte jest serca kochającej cię kobiety.

(C. d. n.).



U wskrzesiciela dzisiejszych widowisk ludowych



Jędrzej Cierniak, niestrudzony wskrzesiciel widowisk ludowych w otoczeniu aktorów, podczas próby. *(fot. Prasa).*

Kochany panie Jędrzeju, może się na mnie rozgniewacie o to, co tu o Was w „7-Dniach" napiszę, ale choćbyście się i bardzo gniewać mieli, to nic Wam nie pomoże. Czytelnicy lubią, gdy im się w wywiadzie z jaką osobistością (tu już po raz pierwszy proszę o przebaczenie) wyciągnie całą masę „intymnych sprawek". Otóż zrobię im tę przyjemność, nie oszczędzę Was, niech mają uciechę!

A zacznę od tego, że gdym przyszedł do waszego skromnego gabinetu, aby uczynić z Wami wywiad, co do tak doniosłej dla życia kulturalnego dzisiejszej Polski sprawy, jaką jest PRAWDZIWY TEATR LUDOWY, to postępowaliście wprost przeciwnie, niż to czynią zazwyczaj ci, którzy udają, że nic im na wywiadach nie zależy. Robiliście, panie Jędrzeju, rozpaczliwe wysiłki, aby swoją osobę usunąć w cień, aby nikt, broń Boże, się nie dowiedział, jak wielkiem jest brzemię, które na swych barkach nosicie i wieleście nocy nieprzespanych i ciężkiego, twardego trudu, pomimo przeciążenia pracą zawodową, włożyli w ukochaną sprawę. Wymienialiście całe szeregi — nie przeczę — wielce zasłużonych nazwisk, cytowaliście zdarzenia, programy, cyfry, starając się uporczywie pozostać bezosobowym.

Tak jest, rzucam „na żer publiczności" Wasze najbardziej „intymne intryżki teatralne", a z tych najbardziej intymną — wielką, szlachetną skromność.

A ileż mnie trudu i namów kosztowało uzyskanie tej fotografji w chłopskiej sukmanie, która jest Waszym ukochanym strojem. Mam wrażenie, że pan Cierniak, aczkolwiek wkłada ją na scenę, jednak nie zdejmuje jej nigdy... z serca. Syn gospodarza z uroczej krakowskiej wsi, Zaborowa, mówi zawsze z dumą o swej łączności z tą pszenną, prapolską glebą. Roli się nie wyrzekł, o wsi nie zapomniał, jak to uczyniło wielu innych, co pokończywszy różne uczelnie wsiąkli w miasto. Syn gazdy gazduje nadal, harując w pocie czoła na niwie ukochanej, ludowej sztuki teatralnej, w gorącym kontakcie ze wsią.

Wygadam wszystko, a raczej przypomnę, że wy jesteście tym, który wznowił na wsi *widowiska o charakterze obrzędowym* (np. Dziady, chłopskie wesela, dożynki ogólnokrajowe oraz regjonalne, święto wiosny, sobótki), a w naszem, tak bardzo już wypranem z tradycyj mieście, chodzenie z artystyczną szopką i kolędnikami. A kto to „uzdajał se" w mojem sąsiedztwie na Olczy, u stóp wspaniałych olbrzymów tatrzańskich owo sławetne „Wesele krakowskie", którego następstwem była inscenizowanie całego szeregu innych „wesel", cieszących się obecnie tak wielkiem powodzeniem. A kto to był duszą „Dożynek" w Spale u Gospodarza Najjaśniejszej Rzeczpospolitej 28/VIII 1927 r. A na czyich to barkach spoczywa całkowicie doskonale redagowany miesięcznik „Teatr ludowy"?

Ale już wam więcej dokuczać nie będę, jeno zapytam, co się obecnie robi ciekawego na niwie teatrów ludowych?

— Jest nienajlepiej, choć grają masę... Uprawia się bezmyślne naśladownictwo teatru zawodowego; w repertuarach i wykonaniu dużo tandety — brak reżyserów, instruktorów, a przedewszystkiem autorów. Straszny brak odpowiednich sztuk. Brak ludzi. Wobec ogromu zagadnień stworzyliśmy niedawno „Instytut Teatrów Ludowych" z siedzibą w Warszawie. Zarząd stanowią p. Leon Schiller, prof. Baziński i ja. Opiekujemy się repertuarem, badamy naukowo zagadnienia teatru ludowego oraz plastykę i ludoznawstwo w zastosowaniu do widowisk ludowych. Prof. Bystroń opracowuje dla nas obecnie książkę o polskich misterjach ludowych. Wypuścimy niebawem w świat w ozdobnem wydaniu „Pastorałkę" (opracowaną przez L. Schillera, a graną niegdyś w „Reducie"). Jeśli nam starczy środków materjalnych, to wydamy jeszcze misterjum wielkanocne, inscenizację pieśni staropolskich, kulig, śpiewnik regjonalny i syntetyczną (nie regjonalną) inscenizację wesela ludowego. Marzymy również o *wzorowym wodewilu ludowym*: Prócz tego tworzymy pracownię kostjumów i mamy już wcale poważny zaczątek bibljoteki oraz zbiorów muzealnych (ryciny, nuty, modele szopek, turonie i różdżki weselne). Urządzamy wykłady i seminarja dla przyszłych instruktorów. Główne nasze zadanie da się wyrazić bardzo lakonicznie: podniesienie poziomu widowisk ludowych — wiejskich, robotniczych i szkolnych.

— A jaki jest stosunek nowego instytutu do „Zw. Teatrów Ludowych"?

— Jak najściślejszy. Idziemy ręka w rękę i wspieramy się wzajemnie. Zw. Teatrów Ludow. mają jednak nieco inne zadania od zadań Instytutu. Są one zupełnie samodzielnemi zespołami, przejawiającemi bardzo żywą działalność regjonalną. Istnieją w Katowicach, Lwowie, Toruniu, Wilnie i Warszawie.

— Jakie macie zamiary na przyszłość?

— Ho-ho... Wszystko chciałby z człowieka wyciągnąć!

Wychudzona, wyrazista twarz, na której ustawicznie ciężka praca wyorała swe koleiny, uśmiecha się chytrze.

— No dobrze, powiem, ale to już będzie ostatnie pytanie. Zgoda?

Kiwam głową, nastawiam pilnie uszu i dowiaduję się o przepięknym projekcie, w którego realizację nikt z nas ani na chwilę nie wątpi.

— W czerwcu 1930 roku, Związek Zawodowy Nauczycieli Szkół Powszechnych organizuje wspólnie z nami SOBÓTKĘ, jako widowisko obrzędowe.

— Ale gdzie?

— Posłuchaj waść:

„Gdy słońce Raka zagrzewa,
A słowik więcej nie śpiewa,
Sobótkę jako czas niesie
Zapalono w czarnym lesie".

— Prawda! Zapomniałem, że to 400-letnia rocznica urodzin ojca poezji polskiej, Kochanowskiego!

— Tak jest. Tam na miejscu, w samym Czarnolesie, gdzie wielki liryk żył i tworzył, odegramy nasze obrzędy sobótkowe. Spodziewamy się wielkiego zjazdu przedstawicieli nauki i sztuki, a mamy nadzieję, że i sam Pan Prezydent nie pogardzi naszem widowiskiem.

— Wspaniały projekt! Sądzę, że wywrze nie mniejszy wpływ niż „dożynki" w Spale.

— Daj Boże. Chcemy je potem powtórzyć w całym regjonie sandomiersko-kieleckim.

Dotrzymuję słowa i o nic już więcej nie pytam. Żegnamy się po chłopsku.

— Ostańcie z Bogiem!

— Panie Boże prowadź!

A w duchu dodaję: I szczęść Wam Boże, Jędrzeju Cierniaku, Kochany gazdo teatralny!

Dr. E. Srążyski.





Szopka na ulicach Warszawy. *Pastorałka.* *(fot. Prasa).*



Odol Cie. S. A. Lwów

Piękna Pani radzi swoim siostrom

„Moje przyjaciółki były zdumione, gdy im oświadczyłam, że myję stale swoje włosy Pixavonem. Muszę dodać, że posiadam piękne, jasne, blond włosy. Wiele pań jest w błędzie, uważając Pixavon jako środek szkodliwy dla jasnych włosów. Ja byłam innego zdania i miałam rację, czego najlepszym dowodem rezultat jakim mogę się poszczycić. Dzięki stosowaniu Pixavonu, włosy moje stały się niewypowiedzianie miękkie i jedwabiste, nie zmieniając bynajmniej jasnego koloru, a na konkursie włosów, do których mycia używa się Pixavonu, uzyskałam pierwszą nagrodę. Obecnie, również stosuje się Pixavon - Shampoon, który posiada tę samą wysoką wartość co i Pixavon; sprobujcie, a będziecie równie zadowolone.

PIXAVON

Obecnie też PIXAVON-SHAMPOON!

OR-OT.

TEATRZYKI OGRÓDKOWE

Stary parkan, kilka drzewek,
Serc młodzieńczych dreszcz zapalny,
Czar muzyki, humor śpiewek —
To ogródek teatralny.
Kufel z piwem, złota lira,
Oto godła teatrzyka...
„Letniej nocy sen" Szekspira —
I „Przygody Grojseszyka".

W Warszawie z przed półwiecza było ich sporo, a wszystkie miewały z roku na rok, z sezonu na sezon, powodzenie nielada. Do najulubieńszych należały: „Wodewil" na Nowym Świecie, „Belle Vue" na Chmielnej, „Tivoli" na Placu Zielonym (dziś Dąbrowskiego), „Alhambra" na Miodowej, „Eldorado" na Długiej. Były i pomniejsze, np. „Pod Lipką" na Przejeździe, gdzie grywano „bomby" w rodzaju „Podróż naokoło świata w 80 -ciu dniach", „Rinaldo Rinaldini, sławny bandyta włoski", „Trzydzieści lat życia szulera", „Żyd wieczny tułacz" i t. p. Natomiast w wyżej wymienionych „ogródkach" często gościła prawdziwa sztuka. Teatrzyki te, prowadzone przez popularnych, znanych w całej Polsce i naprawdę zasłużonych dyrektorów jak: Teksel, Pachniewski, Tranowie, bracia Darnowscy, Miłaszewski, Terenkoczy, uprawiały i dramat i komedję i farsę, i operetkę, najczęściej zaś melodramat, cieszący się zazwyczaj największą frekwencją publiczności. „Ogródki" te były szkołą bardzo zdolnych aktorów, z których wyrastały późniejsze znakomitości, ozdoby sceny warszawskiej, krakowskiej, lwowskiej. Nie ulega też wątpliwości, że szerzyły one kulturę teatralną i zamiłowanie teatru wśród najszerszych warstw ludności stołecznej, zwłaszcza, że debiutowali tu tacy pisarze, jak Bliziński, Narzyński, Zaleski, Zubowski i wielu innych.

Ale Szober! To mi majster!
Pełny werwy i koloru!
Ileż serc on wziął na klajster
Swojej szarży i humoru.
Przy bawarze grubas drzemie,
A w tem: „Szober!" grzmi dokoła
I ocknięty na to imię:
„Niech nam żyje!" piwosz woła...

Istotnie, rekordowe powodzenie miały sztuki, dziś powiedzianoby: rewje, tego wysoce utalentowanego, lecz zmarnowanego i przedwcześnie zgasłego autora. Jego „Podróż po Warszawie" i „Józio Grojseszyk i Barnaba i Pafula na wystawie paryskiej", grane były setki razy i to grane doskonale. Tłumy śmiały się do rozpuku i oklaskiwały rzęsiście wesołe, brawurowe, aktualne kuplety, a dyrektor teatrzyku i właściciel restauracji zacierali z radości ręce, bo kasa była pełna, a piwo szło beczkami.

Pamiętam też jaki zachwyt wywoływały utwory Zapolskiej: „Małka Szwarcenkopf" i „Kaśka Karjatyda" w „Alhambrze" i operetka „Nitouche" z przepyszną Tekslówną w „Wodewilu". W Tekslównie kochała się wtedy cała studenterja i wszyscy uczniacy gimnazjalni, a „Nitouche" szła przez caluteńki sezon bez przerwy. Zbierał też w niej laury nieporównany Winkler w roli Celestyna-Ploridora.

Nucili wszyscy jego wzorem
Kuplet, co był kupletów „atu":
„Jam dla teatru Ploridorem,
A Celestyn dla pensjonatu".
Po nocach śniła się Tekselka,
Taka pulchniutka, jakby skwarek, —
I była z tego żałość wielka,
Wśród smutnych szwaczek i modniarek..

Specjalny typ stanowili „dostarczyciele melodramatów dla „ogródków". Przed sezonem chodzili z pustką w kieszeniach, ale pełni nadziei, w czasie sezonu obrastali w pióra i w eleganckie garnitury, flirtowali z aktorkami i całe noce spędzali przy koniaku i piwku. Najwybitniejszym z nich był Paweł Kośmiński (Paul de Coś), współpracownik „Muchy" i „Kolców". Jego „Tajemnice Warszawy" mogłyby i dziś jeszcze być grane — gdyby dzisiaj były „ogródki".

Jak wiosenna bajka młoda,
Przeszły, znikły przed oczyma,
Ach, doprawdy, jaka szkoda!
Jaka szkoda, że ich niema.
Tłum głów młodych, ślicznych główek
Nieraz w deszczu stał nawalnym —
Więc poświęćmy kilka słówek
Tym „ogródkom teatralnym".



W teatrzyku ogródkowym.

Najpiękniejsze koncerty
Wiednia
Budapesztu
Rzymu
Berlina
i innych ośrodków
muzycznych.

Odbiór idealnie czysty i głośny.
Manipulacja prosta.
Cena przystępna.



Co damy na choinkę naszym bliskim?

Radjoodbiornik!

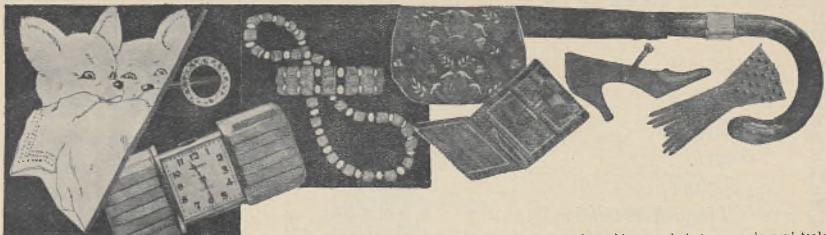
A jaki?

MARCONIEGO

Zarząd i fabr.: Warszawa, Narbutta 29

SKLEPY:

Warszawa, Marszałkowska 142,
Łódź, Piotrkowska 84,
Katowice, Dworcowa 16,
Lwów, Akademicka 14.




Upominki gwiazdkowe

Czasy są ciężkie. Stwierdzaliśmy to niejednokrotnie, stwierdzamy raz jeszcze czy jednak doprawdy aż tak ciężkie, abyśmy się mieli wyrzec radości upominków gwiazdkowych?

— Les petits cadeaux entretienent l'amitié — powiadają francuzi. To w stosunkach towarzyskich. A w rodzinie podarunki świąteczne są źródłem takiej radości i uciechy, że doprawdy nie powinniśmy się ich pozbawiać.

— Że cco?... Że nie powinno się w czasach, tak ciężkich jak obecne, wyrzucać pieniędzy na rzeczy niepotrzebne?...

A fe! Poco na niepotrzebne? Oczywiście, że nie ma żadnej racji... Zresztą prezent niepotrzebny, nie bywa nigdy przyjemny.

— Więc co? Więc zwyczajem niemieckim podarować dzieciom na gwiazdkę piórniki i komplet zeszytów szkolnych, a żonie ciepłe, włóczkowe inexprymable?

Ale skąd? Kto mówi o podobnych obrzydliwościach. Upominkiem nie może być rzecz, którą i tak musiałoby się komuś kupić, upominkiem nie może być rzecz brzydka, depoetyzująca, poziomo utylitarna. Prawdziwie miły upominek musi być pomyślany tak, aby mógł zrobić przyjemność osobie, dla której jest przeznaczony, aby spełnił jej marzenie o jakiejś radosnej odświętności. Tylko taki dar stanowi naprawdę dowód troskliwej uwagi i pamięci. Zresztą nie potrzebuje być kosztowny. Przeciwnie, niech będzie jaknajtańszy. Nic bardziej krępującego niż kosztowne podarunki, bo przecie każdy dar wymaga rewanżu.

Mówiąc o upominkach niepotrzebnych, miałam na myśli takie upominki, kupowane bezmyślnie i na odczepnego jak: skakanka, podarowana dziecku, które zwichnęło nóżkę, piękny wachlarz ofiarowany osobie, której zdrowie czy brak funduszów nie pozwala na bywanie na balach, książka — dla pięknej pani, czytającej tylko feljeton mody i gramofon dla starego emeryta, nie znoszącego mechanicznej muzyki. Nie należy też darowywać cukierków ludziom chorym na djabet, pachnących kwiatów osobom anemicznym i mającym ciasne mieszkania, ani rasowych piesków, nie upewniwszy się uprzednio, że gospodarz domu na trzymanie takowych pozwala. Bowiem gwiazdkowy upominek miał być źródłem radości, nie kłopotu.

— Cóż więc można ofiarować na gwiazdkę? Wszystko! Absolutnie wszystko co może komuś sprawić przyjemność. Tylko żadnej standaryzacji, a właśnie, indywidualizacja idąca jaknajdalej.

Wielbiciel posyłający kosz kwiatów kapryśnej pani Izie, powinien pamiętać o tem, że kolor ponsowy, szczególnie pięknie odbija, od srebrzystych obić jej salonu. Łakoma pani Kita, najwdzięczniej uśmiechnie się do adoratora, który nie zapomniał, że lubi ona właśnie pomadki i właśnie od Lourse'a. Wujaszek, który pragnie zawsze być „słodkim wujaszkiem" swych siostrzenic i siostrzeńców, powinien dobrze wiedzieć, którzy z nich uprawiają ślizgawkę, a które marzy o nartach. A także o tem, że wspaniały pluszowy miś wywoła zachwyt sześcioletniej Lali, ale obrazi śmiertelnie dwunastoletnią Lolę, która jest „już dorosła".

Młode małżeństwa zawsze najbardziej cieszą wszelkie inwestycje, do ich świeżo założonego gniazdka. Kryształowy flakon na toaletę, wazon lub lampa, malowana przez Raczyńską, serwis do kawy lub herbaty, koszyszek do ciasta, modne, koronkowe serwetki, nawet pół tuzina łyżeczek, nawet przysłowiowa solniczka, której podobno już nie chcą przyjmować wychodzące za mąż amerykanki — wszystko jest u nas mile widziane. Tylko znów unikajmy standaryzacji, nie posyłajmy wszystkim młodym małżeństwom przyborów do herbaty na dwie osoby. Lepiej przez wspólnych znajomych dowiedzieć się, czego komuś brakuje, aby móc z powodzeniem odegrać rolę dobrego czarodzieja, który zgaduje i spełnia pragnienia.

Większość młodych pań najwięcej cieszą upominki, mające na celu skompletowanie i uświetnienie ich garderoby. Modny naszyjnik lub bransoleta z chińskiego, barwionego ryżu, lub naśladujących go paciorek, artystyczna torebka, szalik na szyję, najmodniejsze cieniowane pończoszki, minjaturowa puderniczka z lusterkiem, ołówek do ust w emaljowanej oprawie, flakon perfum, koronkowa chusteczka... Nic łatwiejszego jak znalezienie gwiazdkowych upominków miłych sercom młodych pań.

Lecz i tu nie obejdzie się bez troskliwości i dobrej woli.

Ofiarowując perfumy, należy dowiedzieć się uprzednio, jakich pani używa. Najśliczniejszy szalik na szyję, będzie leżał bezużytecznie, lub zostanie podarowany służącej, o ile nie będzie harmonizował z kolorem okrycia. Cieniowane pończoszki muszą być stosowne do pani toalety wieczorowej. Torebka, rękawiczki, piękny sztuczny kwiat — wszystko musi być nabywane z myślą o tem, do czego to ma służyć.

Podobnie i panie, obdarzając swych braci, synów, mężów i tych, którzy mogą mężami zostać — powinny brać pod uwagę ich upodobania i gusta. Sentymentalnego rozczuli tom pięknie oprawnych erotyków z suggestywną dedykacją; wytwornego — rocznik „Teatru i życia wytwornego", skwapliwie uzbierany, praktyczny będzie wolał spinki lub krawat, ale krawat doskonale dobrany do jego nowego garnituru. Automobilistę ujmie maskotka, figurka na radjator i wogóle każde wyposażenie jego ukochanego wozu. Serce zbieracza może podbić rzadki, antyk wyszperany osobiście w mrokach jakiegoś zakazanego antykwarjatu. Domatora ucieszy piękna poduszka, własnoręcznie przez panią wyhaftowana. Dla bezpieczeństwa lepiej zresztą nabyć ją w sklepie, bo będzie ładna napewno, bez ryzyka. Małego, niewinnego kłamstwa nikt pani za złe nie weźmie. O wszystkiem decyduje intencja i szczera chęć sprawienia radości, jak to długo i szeroko w zawiłych słowach tego feljetonu dowieść usiłowałam.

A że istnieją osobniki o charakterach tak przykrych, że nie można ich niczem ucieszyć ni zabawić, to już wyłącznie ich wina i cała przykrość po ich stronie.

Gwiazdka jest dla tych innych, którzy potrafią cieszyć się i bawić jak dzieci. A przedewszystkiem dla dzieci.

Well.







WIELKOSC NATURALNA

BEZPŁATNIE

WIELKA POWSZECHNA

ENCYKLOPEDJA WYDAWNICTWA GUTENBERGA

W ośmiu krajach europejskich pracuje Wydawnictwo Gutenberga nad rozpowszechnianiem dzieł wszechświatowej literatury, i praca nasza wydała wspaniałe wyniki. Miljony ludzi znajduje się dzięki nam w posiadaniu wartościowych bibljotek domowych, będących radością każdego kulturalnego człowieka.

Obecnie wydajemy największe nasze dzieło

WIELKĄ POWSZECHNĄ

ENCYKLOPEDJĘ

WYDAWNICTWA GUTENBERGA

Pierwszy, drugi, trzeci i czwarty tom już się pojawił, piąty znajduje się w druku.

Do dzisiaj posiadanie tak wspaniałego dzieła było udziałem bogaczy, ale dzisiaj każdy może stać się właścicielem

WIELKIEJ ENCYKLOPEDJI

gdyż my dajemy każdemu czytelnikowi tego pisma całkowite wydanie bezpłatnie, o ile natychmiast nadeśle niżej załączony kupon pod adresem naszej centrali w Krakowie, a światowa marka naszej firmy gwarantuje czytelnikowi, że dotrzymamy naszych przyrzeczeń.

ENCYKLOPEDJA

WYDAWNICTWA GUTENBERGA

ukaże się w dużym formacie, w 150 zeszytach, w których blisko **4.000.000 słów i 10.000 różnych ilustracyj** złożą się na potężne dzieło, informujące **wszystkich o wszystkiem.** W każdej rodzinie powinna się znajdować nasza **Encyklopedja**, z której każdy może czerpać niesłychane bogactwa.

Tylko opakowanie i koszta reklamy wymagają zwrotu kosztów w wysokości 35 groszy od zeszytu. Każdy ma również okazję otrzymać Encyklopedję w oprawie po bajecznie niskiej cenie, na co otrzyma wyczerpujące wyjaśnienia w naszym prospekcie.

Prosimy nie przesyłać zgóry żadnych pieniędzy wzgl. znaczków. Zamówienia są ważne tylko dla kuponów, otrzymanych w ciągu 10 dni.

WYDAWNICTWO GUTENBERGA

KRAKÓW, DUNAJEWSKIEGO 2,

Niżej podpisany życzy sobie otrzymać bezpłatnie Powszechną **Encyklopedję** Wydawnictwa Gutenberga

Imię i nazwisko: ....

Dokładny adres: ....

....

Kupon Nr. S. D. 12-XII



Aspirin
w tabletkach
środek uśmierzający bóle.
Wyjątkowo skuteczny we wszelkiego rodzaju
zaziębieniach
i bólach
reumatycznych.
Do nabycia we wszystkich aptekach.

OD 40 LAT WYPRÓBOWANY, NIEZAWODNIE SKUTKUJĄCY PREPARAT DJETYCZNY!

Kaisera karmelki piersiowe z 3 jodłami

ZNAKOMITY ŚRODEK OCHRONNY ORGANÓW ODDECHOWYCH

Jest to zarazem środek, wytwarzający krew i pobudzający apetyt. — Prawdziwe tylko z marką ochronną

„3 JODŁY"

Żądać w aptekach i składach aptecznych.
Przedstawicielstwo: MIECZYSŁAW TULEJA, Warszawa, Solec 48a. Tel. 303-56.



SZWEDZKIE NOŻYKI DO GOLENIA ŚWIATOWEJ SŁAWY
SWING



ROYAL
TRADE MARK
ROYAL TYPEWRITER COMPANY, INC.

NAJBARDZIEJ UDOSKONALONA AMERYKAŃSKA MASZYNA DO PISANIA

UPOWAŻNIONE PRZEDSTAWICIELSTWO
„PACIFIC" SP. AKC.
Warszawa, Al. Jerozolimskie 25.
Tel. 117-52

BRUNO WINAWER

Sterowiec, samoloty, motory i inne zabawki!

Ludzie poważniejsi i sprytniejsi, wychowawcy, nauczyciele, którzy lepiej patrzeć, obserwować umieją, spostrzegli to oddawna: lejce i bacik nie zajmują już naszych malców, drewniany koń z prawdziwą grzywą nikomu dziś nie imponuje.

Jakżeby mogło być inaczej? Melancholijna, biedna szkapa dorożkarska błąka się po mieście, jak cień, jak straszliwe widmo między samochodami i autobusami, wiecznie komuś zawadza, ustawicznie tamuje ruch uliczny, pakuje dyszel w okno lśniącej karety, wywala się na równej drodze i gromada woźniców w długich kapotach ciągnie ją za ogon, klnąc i dogadując hałaśliwie: ano! a wio! a psiakrew! a wiśta! a bodaj cię wciórności!

Czy tak ma wyglądać ideał naszych lat młodocianych?

Nie. Dzieciaki mają przedziwną intuicję, czują doskonale pismo nosem, wiedzą, gdzie się kryje romantyzm naszych czasów.

Uczniowie niższych klas w szkołach amerykańskich budują samoloty i szybowce. Sprytne firmy i zakłady specjalne rzucają na rynek pudła i kasety, napełnione dziurkowanemi sztabami, kółkami zębatemi, śmigłami, pasami transmisyjnemi. W jasnych pokojach furkoczą propellery, warczy hydroplan na dużej misce z wodą, samochód elektryczny objeżdża stół naokoło, lokomotywa najnowszej konstrukcji dudni na blaszanych szynach. Sterowiec typu „zeppelina", przymocowany do masztu, tkwi spokojnie w niedużym porcie lotniczym na stołku, ale kiedy na niego dmuchać aparatem do suszenia włosów (fön), poczyna groźnie mruczeć, obraca się, szczęka gondolami. Wiatrak, przekształcony na pomysłowy motor powietrzny, pompuje wodę, kuchnia elektryczna — trzeba ją tylko włączyć do kontaktu w ścianie — piecze jabłka i kasztany, pralnia funkcjonuje sprawnie, automatyczna wyżymaczka kręci się, jak szalona.

Poważne pisma specjalne drukują artykuły o zabawkach dla dzieci. Głośny na obu półkulach związek inżynierów (V. D. I.) opracował prawa i przepisy, które chronią małych Edisonów od przykrych niespodzianek przy włączaniu prądów elektrycznych.

Zwycięska technika nowoczesna podbiła i zawojowała światek dziecięcy, wybitni wynalazcy szkicują modele zmniejszone swoich najlepszych pomysłów, żelazne rumaki i konie parowe hasają między krzesłami i pod kanapą... Inżynier genjalny zawarł „przymierze z dzieckiem".

Właściwie — odległość nie jest znów tak wielka, jakby się zdawało, iż za naszych lat chłopięcych, każdy z nas był badaczem, Newtonem, Faradayem, Galileuszem, teoretykiem, odkrywcą... Hertzem i Marconim w jednej osobie!

Rzecz wzruszająca i zastanawiająca zarazem: niektóre — najciekawsze — metody naukowe przypominają nasze gry i zabawy naiwne, nasze rozrywki z okresu przedszkolnego.

Naprzykład. Kiedy głośny w dziejach fizyki Benjamin Franklin biedził się nad kwestją, co to jest piorun i błyskawica i jak tę sprawę rozstrzygnąć doświadczalnie, twarz mu się raptem rozjaśniła, jakieś wspomnienie dalekie odżyło w nim nagle... Zmajstrował sobie w podeszłym wieku, naiwnego, dziecinnego „latawca", podpuścił go w dzień burzliwy aż hen! pod obłoki i... Tak powstał jeden z najpoważniejszych przyrządów w historji nauk ścisłych — piorunochron, tak się zaczął nowy rozdział w nauce o zjawiskach elektrycznych.

Jeden z najszczęśliwszych wynalazców doby ostatniej, twórca słynnych „pupinizowanych" kabli telefonicznych, Michał Pupin, profesor uniwersytetu w Kolumbji, usiłuje w grubej i doskonale napisanej książce wytłumaczyć czytelnikowi teorję swego doniosłego odkrycia, na którem towarzystwa telefoniczne amerykańskie dorobiły się miljonów, jeżeli nie miljardów...

„Kiedy byłem jeszcze małym chłopcem — zaczyna — kiedy wypędzałem w dalekim „banacie" (Stara Serbja) bydło na pastwisko, wbijaliśmy razem z innymi pastuchami kołki w ziemię i porozumiewaliśmy się sygnałami akustycznemi"...

James Watt, wielki James Watt wywołał jeden z największych przewrotów na ziemi, stworzył maszynę parową, ale idea tej maszyny zaświtała mu poraz pierwszy w kuchni, kiedy się przyglądał, jak para podnosi pokrywę garnka z kartoflami...

Możnaby tak historję cytować do rana! Faktem jest niezbitym, że jakieś mocne nici łączą genjalnych uczonych z małymi Jerzykami, figlarnymi Dusiami, Józiami, Jackami.

Nieuki i „zakute łby" to dopiero my, tak zwani „dorośli". Szkoły średnie zabiły w nas najcenniejszą właściwość ducha ludzkiego — ciekawość. Zakładamy w domu telefon i wiemy o nim tylko tyle, że trzeba płacić za rozmowy dodatkowe, kupujemy w sklepie aparat radjowy i obchodzi nas tylko to, że w pewnym terminie trzeba będzie „bulić forsę".

Fale elektryczne? istota zjawisk? — nie! to, co „jest w środku" nie zajmuje nas wcale. Są inni ludzie od tych rzeczy — monter, elektrotechnik, ślusarz.

Nie będziemy dla rozrywki godzinami majstrowali, skręcali drutów, stukali młotkiem.

W chwilach wolnych siadamy spokojnie przy zielonym stole, rozkładamy karty. Zajmują nas monotonne kombinacje, jakie tworzą kiepskie malowanki w pokerze, belotce albo bridge'u. Poza tem — świat zubożał, wszystko nas nudzi...

Zdaje mi się, że nadszedł czas, kiedy mały Józio, Jerzyk, Duś albo Jacek powinien zajrzeć wreszcie do pokoju, w którym ziewają starsi i powiedzieć głośno:

— Przyniosłem ci, tatusiu, zabawkę. Model samolotu ze sprężyną. Chciałbym, żebyś to sobie podpuścił i zrozumiał wreszcie, na czem aeroplan polega. Nie jesteś już taki malutki, masz przecie trzydzieści pięć lat, a nic nie kupujesz. Nie wypada... Pobaw się, ale nie zepsuj!...

Nie trzeba się byle czem zrażać. Papa w pierwszej chwili napewno zmarszczy brwi, mruknie groźnie, że jest bardzo zajęty, ale po kilku wytrwałych atakach i próbach oderwie wzrok zmęczony od „pików i kierów", wstanie od zielonego stołu, nakręci samolot sprężynowy, popatrzy na fenomenalnego „radjo - pieska", który sam biega za światłem (bo są i takie zabawki), na aparat, który słucha głosu ludzkiego i spełnia rozkazy...

I — kto wie — może przypomni sobie nagle, że istnieje cała olbrzymia dziedzina twórczości ludzkiej, której nie zna, że istnieją stosy ciekawych książek, prace genjalnych ludzi, że są na świecie teleskopy, ultramikroskopy, obserwatorja, instytuty badawcze, sejsmografy...

Nasze dzieci powinny się zająć wreszcie wychowaniem osób starszych.

Czas najwyższy.



Samochód dziecinny nie „na niby", a nawet ciężarowy.

SUCHARD



100 lat

przoduje na całym świecie
czekolada

SUCHARD.

Każdy jej gatunek zadawalnia
nawet najwybredniejszych.

Czekolada - Kakao



Suchard
tango



Natchnieni dobrocią
Czekolady Suchard
skomponowali:
Kataszek-Karasiński
Słowa: Jaha

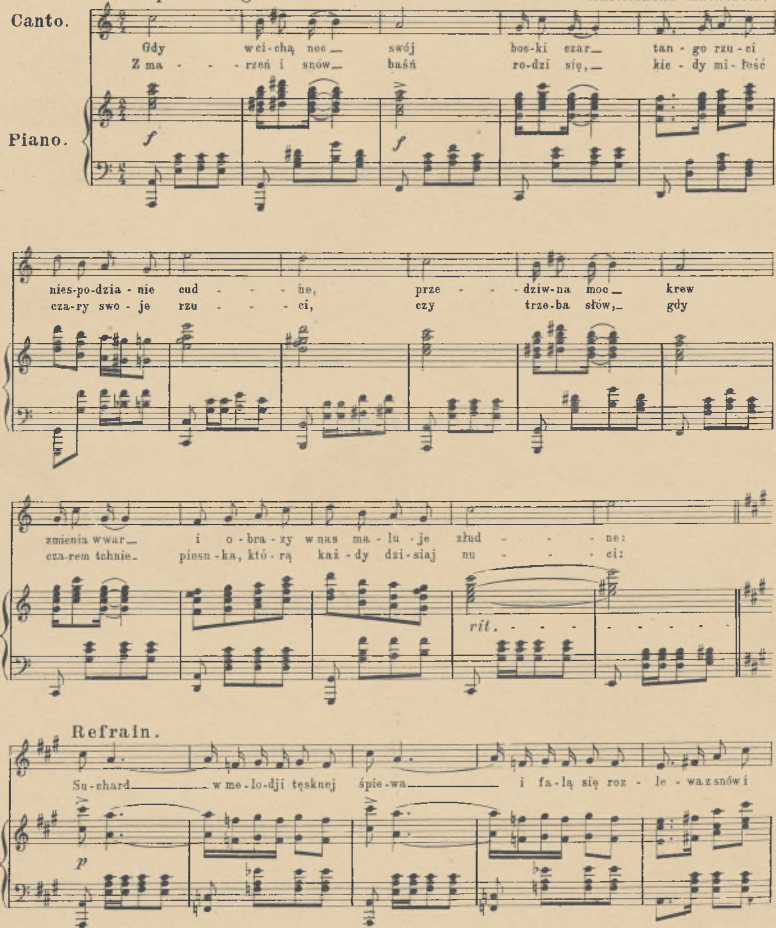
SUCHARD.

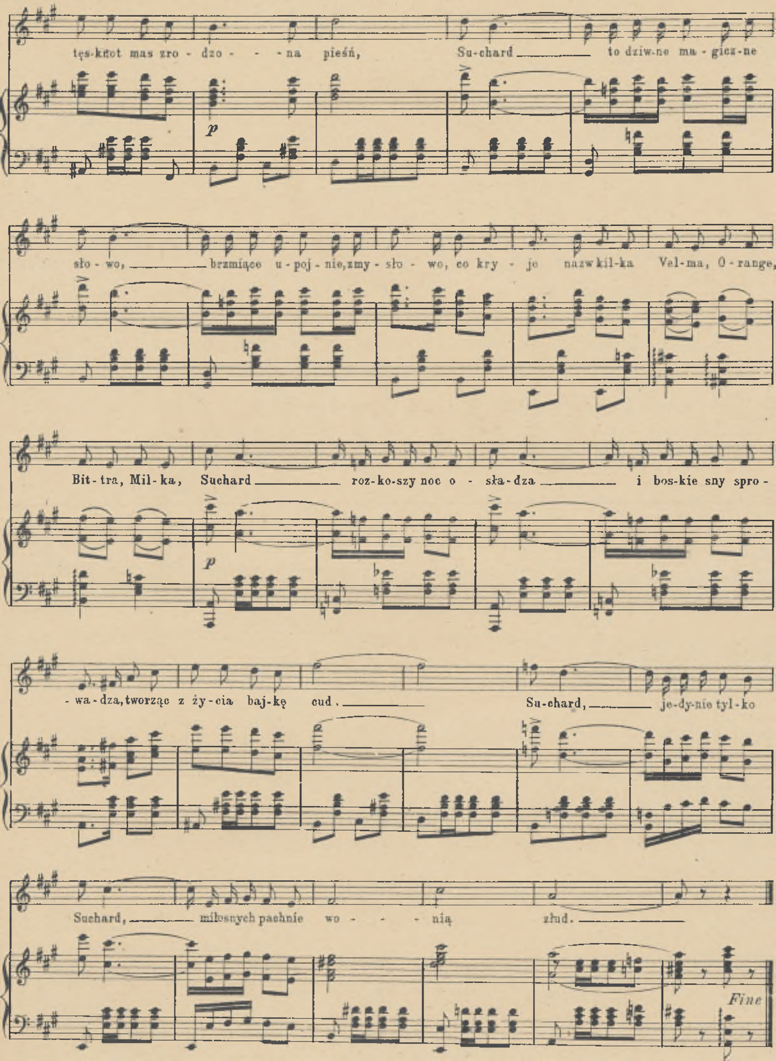
TANGO.

Słowa Jaha.

Natchnieni dobrocią czekolady Suchard skomponowali: Karasiński-Kataszek.

Tempo di Tango.




tęs-knot mas zro - dzo - - - na pieśń, Su-chard to dziw-ne ma - gicz-ne
sło - wo, brzmiące u - poj - nie, zmy - sło - wo, co kry - je nazw kil-ka Vel-ma, O - range,
Bit - tra, Mil - ka, Suchard roz-ko-szy noc o - sła-dza i bos-kie sny spro -
- wa - dza, tworząc z ży - cia baj-kę cud. Su-chard, je-dy-nie tyl-ko
Suchard, miłosnych pachnie wo - - - nią złud.
p
Fine



Wszyscy piją kakao

Suchard

najlepsze śniadanie


gronowski
Gdziekolwiek postanie stopa św. Mikołaja,
wszędzie najmilszym podarkiem gwiazdkowym są radjoinstalacje PHILIPSA
PHILIPS
RADIO



ODOL Cie, S. A. LWÓW



„RADJO HILVERSUM"

oto najpiękniejszy podarunek gwiazdkowy.

Tysiące robotników oraz setki najbardziej wykwalifikowanych inżynierów i techników pracuje przy produkcji holenderskiej fabryki radjoodbiorników „NEDERLANDSCHE SEINTOESTELLEN FABRIEK" w HILVERSUM.

Najlepsze maszyny i najbardziej nowoczesne laboratorja są do dyspozycji tych, którzy udoskonalają radjoodbiorniki HILVERSUM

RADJO-HILVERSUM" to aparat znany w całym świecie ze swej czystości odbioru, wielkiej selektywności, łatwości w obsłudze i estetycznego wyglądu.

DO NABYCIA W FIRMACH WARSZAWSKICH:

ZJEDNOCZONE T-WO HANDLOWE, Zielna 46

„RADIOS", Niecała 6 „MEGOHM", Bracka 2

oraz na prowincji:

Kraków—Philradjo, Rynek Główny 9.
Lwów—W. Drabik, Sykstuska 17.
Katowice—Werka, Zamkowa 1.
Bielsko—Alschor i Zipser, Kolejowa 11.
Łódź—Audion, Traugutta 1.
Poznań—Radius, św. Marcin 62.
„ —M Pachulski, Pl. Wolności 11.
Przemyśl—Unger i Rebhun, Mickiewicza 5.
Toruń—„Auto-Radjo-Skład" Mostowa 36.

i we wszystkich większych miastach Rzeczypospolitej

CZY WIECIE ŻE...

...w roku ubiegłym wwieziono do Stanów Zjednoczonych i Kanady 250 miljonów kilogramów środków wybuchowych. Transport ich nie spowodował ani jednego wypadku w ludziach, a straty materjalne wynosiły zaledwie 45 dolarów. W roku 1907 transport środków wybuchowych spowodował 210 nieszczęśliwych wypadków z ofiarami w ludziach i straty materjalne około 500 tysięcy dolarów.

...w środkowej Afryce rośnie gatunek drzew, zwanych przez krajowców „drzewami śmierci". Pozostawanie w cieniu tych drzew powoduje, według miejscowych wierzeń, utratę przytomności i śmierci. Do drzew tych przywiązuje się często skazańców, którzy znajdują śmierć w zabójczym cieniu.

...w Ameryce zbudowano auto ze szklaną pokrywą nad motorem. Auto to należy do jednej ze szkół automobilowych, które zapoznają w ten sposób słuchaczy z szczegółami jego budowy.

...w Ameryce wprowadzono nowy rodzaj asekuracji. Ubezpiecza się mianowicie wynalazców od strat, wynikających z nieprawnego wykorzystania ich wynalazków.

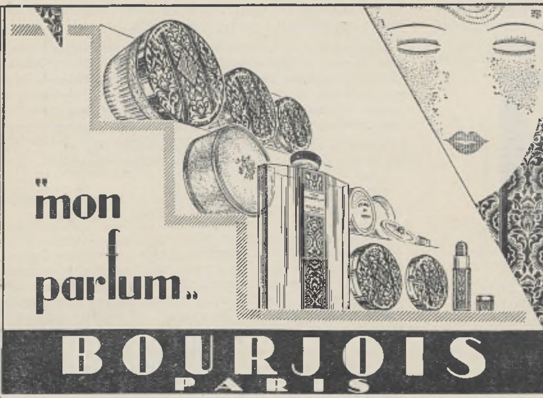
...w Niemczech buduje się obecnie dźwig, który może unieść w powietrze 1000 ton do wysokości 100 stóp. Koszty jego budowy wynoszą około 6 miljonów dolarów.

...Stany Zjednoczone wydają rocznie na kosmetyki, 100 miljonów dolarów, czyli dziesięć razy tyle, co na badania naukowe...

...według praw angielskich, oskarżony ma prawo żądać przedłużenia kary i sędzia jest obowiązany uczynić zadość jego życzeniu. Z „przywileju" tego korzysta bardzo wielu przestępców, zwłaszcza z nastaniem słot i chłodów.

...eskimosi dają skazańcom do wyboru rodzaj śmierci. Skazany na śmierć wybiera więc sam, czy woli zginąć od kuli, czy być zarzniętym nożem myśliwskim, czy też zostać utopionym. Jeżeli skazany stawia czynny opór, to zostaje przez sędziów własnoręcznie wtrącony do przerębla. Wypadek taki miał ostatnio miejsce z eskimosem Mako Gliak z Ziemi Baffina, oskarżonym o wymordowanie swej rodziny.

...rad obok cudownych własności leczniczych, może się także stać przyczyną ciężkich obrażeń a nawet śmierci. Pierwszą ofiarą radu był chemik francuski Demenitroux, który zmarł w roku 1925 wskutek zatrucia radem, na którego działanie był przez dłuższy czas wystawiony.



Jeneralne Przedstawicielstwo na całą Polskę:
JÓZEF HOSIASSON, Warszawa, Trębacka 4.

Pola Negri
UŻYWA STALE



DO NABYCIA w APTEK., DROG. i PERFUMERJACH

Czytelnicy „7 dni" otrzymają zupełnie bezpłatnie broszurę z opinją lekarzy całego świata, jak można zupełnie wyleczyć się z reumatyzmu, artretyzmu, kataru kiszek, choroby nerek, niemocy płciowej, rozstroju nerwowego i bezsenności.
Listy należy adresować w języku polskim:
Mr. D. Andral Apart 16, 81 Rue Turbigo, Paris.

TRZCINOWE FOTELE



W. KRĄKOWSKA
WARSZAWA
ALEJA
UJAZDOWSKA 30

ICH ULUBIONE KARYKATURY



M. Walentynowicz. *(repr. z „Naokoło Świata").*
Kanarek zginął!



E. Głowacki.
Błękitny generał.

Poznać charakter narodu jest rzeczą trudną. Odzwierciadla się on w tysiącznych, przemijających drobiazgach i zjawiskach codziennego życia, jak również w pomnikach dorobku kulturalnego, które tętnią życiem przez całe wieki. Monumentalność i styl budowli, stroje, nadmierna rozbudowa i organizacja gałęzi jakiegoś przemysłu, mogą nam scharakteryzować naród pod względem jego konieczności życiowych, przystosowania się do szerokości geograficznej i wyzyskiwania dóbr naturalnych leżących w ich posiadaniu. Nie daje to nam jednak całokształtu psychiki narodu, która sięga wgłąb duszy ludzkiej, a która bezwiednie kieruje jego ekspansją i rzutkością nazewnątrz.



M. Walentynowicz. *(„Naokoło Świata").*
— Może się zabawimy w chowanego?...

Istnieją trzy żywioły, przez które przemawia prawdziwa i szczera dusza narodu. Żywiołami temi są: melodja, barwa i strofa. Melodja jest żywiołem najbardziej arystokratycznym, częstokroć przez wielu niezrozumiałym. Strofa — niejednokrotnie skrępowana czynnikami, tłumiącemi przemocą jej przejrzystość. Wreszcie barwa, mieniąca się mozajką odcieni, pysznniąca się bogactwem inwencji i skarbami uczucia.

Barwa, to sztuka przemawiająca niekoniecznie kolorami, ale intencją autora, który tworząc dzieło sztuki, charakteryzuje epokę życia narodu.

Mistrzowie barwy dzielą się na wiele kategoryj, z których najbardziej zrozumiałymi i najszczerzej odczuwanymi są humoryści.

Humorysta, to niekoniecznie osobnik tryskający nazewnątrz humorem, którego sam widok przyprawia innych o homeryczne wybuchy śmiechu. Humorysta to skoncentrowany psycholog i czujny obserwator zamykający w swym śmiesznym rysunku nieraz bardzo bolesne prawdy. Istnieją humoryści, których tragedją życiową jest tworzenie rysunków humorystycznych, którzy jak się wyrażają „są zmuszeni śmiać się — płacząc".

Studja nad rysunkami humorystów, to kopalnia wiadomości dobrego i złego. Istnieją rysunki pogodne i ponure, szydercze, uszczypliwe i wzbudzające beztroską wesołość. Wspólnym rysem wszystkich humorystów świata, należących do rozlicznych autoramentów psychiki, jest groteskowość w odtwarzaniu myśli przewodniej. Groteskowość ta często przebija się w wyolbrzymieniu pewnego rysu charakterystycznego twarzy czy postaci, ruchu czy sytuacji.



Arthur Watts.

Rodzinny spacer, w niedzielę, popołudniu.



Autoportret najpopularniejszego karykaturzysty francuskiego, Sema.

Prócz tego, każdy z humorystów posiada odrębny sposób ujęcia rysowanej sytuacji, względnie we wszystkich swych rysunkach przeprowadza jedną i tę samą sylwetkę dobrze znaną każdemu czytelnikowi.

Jeżeli porównamy rysunki humorystów zagranicznych i polskich, to przekonamy się, że charakterystyka narodu występuje w nich jaskrawo. Podczas kiedy zagranicą, narody, żyjące bez przerwy życiem państwowo-niezależnem, śmieją się z rysunków o charakterze czysto humorystycznym o tyle polscy humoryści tworzyli przeważnie rzeczy, o głębokim podkładzie politycznym, skierowanym na pewną jednostkę ogólnie interesującą, lub też na systematy sfer rządowych. Są to skutki niewoli, które zatruły dusze jadem podejrzliwości, zawiści, atmosfery nadzoru policyjnego i donosów ochrany. Przeglądając komplety pism humorystycznych za panowania rządów carskich, rzuci się nam w oczy fakt ukrywania pod groteskowemi rysunkami poważnych zagadnień i cierpień narodu skutego kajdanami.

I nic dziwnego. Beztroska wesołość w czasach naszego bezwładu politycznego, wzbudzała często podejrzenia nieprawomyślności. Urzędnicy carscy nie potrafili sobie wyobrazić, jak naród „miatieżników“ może się zdobyć na chwilę szczerej zabawy, nie kryjącej w sobie żadnych „wywrotowych“ celów. Należało się kryć nawet ze śmiechem. Dlatego śmiech się schował głęboko, natomiast wyszło najaw szyderstwo polityczne, które było rozumiane przez rewirowych i przez nich łaskawie tolerowane.

Z chwilą zmartwychwstania Polski, humoryści nasi — jakby się zdawało — mogli, nie czując już skrępowania, dać wodze bujniejszej fantazji. Nie łatwo jest wszakże wpaść w nowy nastrój, nie łatwo jest zmienić psychikę tych szerokich mas, którym służą artyści. Możeby ich nie zrozumiano... A zresztą, powiedzmy to sobie otwarcie, warunki wydawnictw naszych nie pozwalają na zbytnie nowatorstwa.

Więc żyje sobie poczciwa „Mucha“ (niechaj żyje ze sto lat!), więc żyje młody „Cyrulik“ (i jemu niechaj będzie jak najlepiej!) — ale są to pisma wyłącznie satyryczno-polityczne. Gdzie niegdzie, od czasu do czasu zaledwie w tem lub innem wydawnictwie, perjodycznem czy książkowem, spotkamy beztroską kompozycję — M. Walentynowicza czy Grusa, rysunek z legendą, lub ilustrację do feljetonu, noweli, wierszyka...

Ha, trudno! Poczekajmy... Może i my nauczymy się śmiać, a za każdą perełkę szczerego humoru, wdzięczni jesteśmy artystom.

Reprodukowane w niniejszym artykule rysunki są ulubionemi klejnocikami artystów.

Są to te perły humoru, nad któremi sam autor się śmieje aż do łez, nie gorzkich, ale beztroskich i szczęśliwych. *(g).*



H. M. Batemann. *(„Life“).*

Włos w zupie.

TEATR NOWY

Eugenjusz O'Neill: „Anna Christie". Reżyserja Wacława Radulskiego.

Wionęło morzem... Wielką wodą i... wielką wódką... (Dziwna rzecz, że te dwa... żywioły... zawsze w parze chodzą, przepraszam — płyną...).

A zarazem wionęło Conradem i Jackiem Londonem. Choć nie zupełnie. Bez ich jędrnej jurności... Ach, te opary alkoholu. Nie wiem, kto tu winien. Czy Gawlikowski (kapitan Krzyś), że tak sztukę „przepijaczył", czy młodociany reżyser Radulski. Dość, że całą akcję widzi się pod tą „mgiełką" rektyfikacyjną. (Wciąż tylko „mocna" z imbirem, albo „jasne" z porterem).

Alkohol — cecha pierwsza. Cecha druga — morze. „Pomiot djabli", jak go nazwał stary Krzyś. Upaja i... zabija. Nęci i... upadla. Wyzwala i... więzi. (Tako rzecze O'Neill). Cecha trzecia — „letki chleb". Także nęci i... upadla. (I t. d. i t. d.).

Z tych trzech cech typowy Amerykanin Mr. O' Neill sklecił sztukę z nieodzownym „happy end". To jego prawo. A teatr Nowy tę sztukę wystawił. To jego prawo. Ale czy i obowiązek? Stwierdzi to publiczność swą frekwencją.

(O, bo publiczność teatralna i kinowa teraz zmądrzała. Nie da się nabrać. Twarda jest. I ma węch. Ho, ho i jeszcze jaki).



Chaveau i Gawlikowski w sztuce „Anna Christie"

Broniszówna gra „taką"... Taką, co to „za kobietę chodzi". I której to już obmierzło. Więc się zarzeka, że tak mężczyzn teraz nienawidzi, że aż jej się niedobrze robi, gdy tylko na którego spojrzy... Ale, gdy tylko na barce ojcowskiej, dokąd się schroniła, ujrzała chłopa na schwał — odrazu jej się zrobiło... dobrze. Lubię takie „androfobki" (lub, jeśli kto woli — „antymaskulinistki"), co to: „Nie, nie, nie!" — na gębę... A niech tylko się nawinie pierwszy lepszy a mocniejszy, to już się dzierlateczka rozkleja i „ino całuj mnie, całuj"... Ech, wy...

A ten chłopyś, co się „nawinął", to też dobre ziółko. Palacz okrętowy, obieżyświat, co to w każdym zakątku kuli ziemskiej gzi się z inną portową dziewką. Wtem zakochał się. Zamarzył mu się nagle dom rodzinny, żona, dziecko. I jej też. Oboje mają dosyć ciągłej „zmiany wrażeń". Więc ślub?...

(Nie, wtedy sztuka miałaby zaledwie dwa akty, a musi mieć cztery. Publiczność płaci i wymaga...).

Niema ślubu (narazie), bo chłopaczek (a raczej chłopisko) dowiedział się, że jego ukochana nie odmawiała nikomu, kto zapłacił. Oburzenie, pogarda, zerwanie. On, z własnej nieprzymuszonej woli, mógł mieć tysiącami, a jej, zmuszonej do tego nieubłaganem okrucieństwem losu, ma za złe. Typowa moralność męska. A bodaj cię wciórności! (mówiąc stylem sztuki, albo może tylko tłumacza p. Sobieniowskiego, bo oryginału nie znam)...

Teatr Nowy — to zbyt ciasne ramy dla reżysera Radulskiego i mistrza Drabika. Robili, co mogli...

Ciekawe będzie ujrzenie „Anny Christie" na filmie. I to dźwiękowym. I to z Gretą Garbo w roli tytułowej... Pokażą nam zapewne całą młodość Anny, pokażą burzę na morzu...

A w teatrze Nowym pokażą, miejmy nadzieję, coś dla tego teatru odpowiedniejszego...

H. LIŃSKI

WRÓCIŁY PRZEDWOJENNE

PIĘKNE KSIĄŻKI Z OBRAZKAMI

PSAŁTERZ DZIECKA POLSKIEGO Marji Konopnickiej. Cudowny wiersz wielkiej poetki, ozdobiony trzema prześlicznemi akwarelami A. Gawińskiego, tekst w ozdobnych ramkach. . . . . Zł. 3.—.
ZOCHNA W KRAINIE ŚNIEŻEK. Wiersz T. Pudłowskiego, 10 kolorowych ilustracji Sybilli Olfers . . „ 6.—.
LEŚNA KRÓLEWNA. Wiersz Or-Ota, 9 kolorowych obrazków, prześliczne! . . . . . . „ 6.—.
BAŚŃ O ZIEMNYCH LUDKACH. Wiersz J. Ejsmonda, 10 wielokolorowych plansz . . . . „ 6 —.

INNE WYDAWNICTWA WYTWORNE

CZAR BABA. M. Buyno-Arctowej. Opowiadanie na tle ludowem, z 10 kolorowemi obrazkami A. Gr. Ostrowskiej. 6 —
DOMINO. Wierszyki M. Dynowskiej do subtelnych rysunków Marji Weinles. 3 —
DZIECI I LALKI — W MOIM OGRÓDECZKU. 2 holenderskie książeczki z wysoce artystycznemi obrazkami. Wiersze Br. Kossuthówny. Po zł. 6 —
KLITUŚ BAJDUŚ — KOSZAŁKI OPAŁKI. 2 czysto polskie książki na grubym papierze dla małych dzieci, przez Br. Rogoszównę. Dużo kolor. obr. A. Gr. Ostrowskiej. Po zł. 7 —
WESELE MAŁGORZATKI, według ludowego obyczaju, pięknym wierszem J. Porazińskiej. Ozdobione w pięciu kolor. przez St. Bobińskiego. 6 —

ARTYSTYCZNE KSIĄŻKI OBRAZKOWE po zł. 2 — i 3 —.

Duży wybór w katalogu.

DLA MŁODZIEŻY POLECAMY

WYSPA MĘDRCÓW. Wielka powieść zeszytowa Marji Buyno-Arctowej, bogato ilustrowana przez A. Gawińskiego. Wychodzi od 1.X 1929 r., jako Tygodnik Przygód i Powieści. Całość 40 zeszytów zł. 15 —. Kwartalnie 6 50

KUNIGAS. Znakomita powieść J. I. Kraszewskiego z dziejów Litwy z 12 ilustracjami Andriollego. Wytworny prezent także dla dorosłych. Brosz. zł. 12 —, w opr. w płótno 16 —
WIĘZIEŃ NA MARSIE. Fantastyczna powieść G. le Rouge, z 12 rycinami. Brosz. zł. 3 —, w opr. 5 —
ZUCHWAŁY LOT. Powieść lotnicza A. Galopina o 500 stronach tekstu z 186 kolorowemi i czarn. obrazk. Brosz. 10 —, w opr. 12 —

CZERWONE KSIĄŻKI M. ARCTA

Beach Rex. GWIAZDA SAMOTNA. Przełożył z ang. J. Taylor.
— PŁYNNE ZŁOTO. Przełożył z ang. J. Taylor.
— DZIEWCZĘ Z DALEKIEJ PÓŁNOCY. Przekł. Krasuckiej.
Dauthendey M. ZIEMIA PŁONĄCA. Przełożył J. Wittlin.
Grey Zane. U PODNÓŻA TĘCZY. Przeł. St. Barszczewski.
— RZEKA OPUSZCZONA. Przełożyła z ang. J. Krasucka.
— NEVADA. Przełożyła z ang. St. Heymanowa.

CENA KAŻDEJ POWIEŚCI W BROSZ. ZŁ. 6 40, W OPR. 8 80.

BIBLJOTECZKA PODRÓŻNICZA

Chmielewski J. ANGOLA. Nowe tereny emigracyjne. 4 —
D'Esme J. SŁOŃCE ETJOPJI. Wrażenia z podróży. 4 —
Fularski M. ARGENTYNA, PARAGWAJ I BOLIWJA. 4 —
Makarczyk J. NOWA BRAZYLJA. Dżungla. Osiedla. Ludzie. 4 —
Rostafiński J. AUTEM I ARABĄ PRZEZ ANATOLJĘ, z ryc. 4 —

ŻĄDAJCIE KATALOGÓW WYDAWNICTWA M. ARCTA

Warszawa, Nowy-Świat 35. P. K. O. 196,

oraz we wszystkich lepszych księgarniach.

OBRAZKI Z SĄDÓW

SĄD SALOMONA

Nie pod gorącem niebem Orientu działo się to, ale bliżej. W szary listopadowy dzień, w małej sali Oddziału III Sądu grodzkiego na Pradze. I nie o dziecko płaczące chodziło, ale o zegarek. O zwykły, tani, niklowy zegarek.

Ale były dwie kobiety bodaj tak samo zajadłe i spór również niezmiernie trudny do rozstrzygnięcia.

* * *

— Mam taki sklepik, panie Sędzio, z wendlinom — z kiełbasom, z szynkom, jak się należy, — wywodzi poszkodowana, machając przekonywująco rękami — i ten mój zegareczek to leżał sobie tak jak i zawsze za ladom, tak jakby na komodzie — o tak niedaleko, jakby to odemnie no do stołu (pokazuje na stół sędziowski). I przyszedł do mnie do sklepu taki chłopaczek, co to tak się co raz po bazarze tuła, żeby mu coś tam udzielić. Pobył z parę minut, może pięć, może dziesięć i poszedł. Jak poszedł, tak patrzę — niema zegareczka. Był, a niema. Szukam, szukam — niema. Poleciałam do Marcinowej na radę. A ta mówi. Niech pani sobie idzie, pani Okuniowo po bazarze, może co pani wypatrzy. Z samego rana poleciałam, panie sędzio, na bazar i patrzę: stoi ta pani Kuropatwa, ta niby oskarżona, i trzyma mój zegareczek i sprzedaje. Jak ja do niej! Mówię — mój zegarek, pani Kuropatwa, niech pani po dobremu odda. A ona zaraz w krzyk, że ma ten zegarek już ze trzy tygodnie i tak jeszcze coś nieładnie powiedziała i zegarek schowała. Wtedy ja — że akurat posterunkowy przechodził — do niego! Zabrał zegarek i zapisał wszystko jak i co było...

— A pani napewno poznała ten swój zegarek?— pyta sędzia.

— A napewno, panie sędzio! Ja mogę przysięgać, że to mój! Trzy lata go miałam, i ani razu nie stanął. Dobry zegareczek był, panie sędzio.

Pani Okuniowa zamilkła, zastygła z oburzenia. W swoim względnie białym fartuchu wędliniarki, odpowiednio korpulentna, z ponsową twarzą i starannie ufryzowanemi loczkami — wyglądała jak groteskowy posąg niewinności, wołającej wielkim głosem o pomstę swej krzywdy.

— No i co pani na to, — pyta sędzia.

Wulkan wybucha. Potoki lawy, popiołu, kamieni. Ogłuszający hałas. — Panie sędzio, — woła z emfazą, — panie sędzio, to wszystko kłamstwo. Tej pani nie wstyd mnie, porządną kobietę po sądach ciągać. Taka kompromelacja dla mnie... Ta pani mówi, że poznała zegarczek za swój; niech przysięga, ale w kościele! Trzy tygodnie go miałam! Przyniósł jakiś elegant, co gra w te kule w Luna-Parku, żeby mu dać w zastaw siedem złotych...

Lawa płynie, sypią się kamienie. Mąż kochający umarł... dwoje dzieci... stragan... figureczki, kogutki sprzedaje... ciężko pracuje, nie jest jakaś damom, co wendlinom handluje... pare groszy, co utarguje, to na dzieci wydaje i t. d., i t. d.

* * *

Sędzia zarządza przerwę.

Po przerwie pyta oskarżoną, a potem poszkodowaną, jakie znaki szczególne posiadał zegarek. Oskarżona opowiada o jakiejś drobnej dziureczce w emalji, poszkodowana nie pamięta żadnych cech szczególnych. Następnie sędzia każe oskarżonej podejść bliżej do stołu. Wyciąga obydwie ręce. W każdej ręce trzyma zegarek, ale tak, że tylko tarcza zegarka jest widoczna.

— Który z tych zegarków jest pani?

Oskarżona przygląda się, myśli, wreszcie mówi — nie mogę poznać, nie wiem...

Podchodzi poszkodowana. To samo pytanie. Bez namysłu odpowiada: — Nie, to nie mój zegarek, ani ten, ani ten! Napewno. Mój miał cyferblat coś jakby ciemny..., nie to nie mój. — Sędzia kładzie teraz obydwa zegarki na stół, tak, że są już całkowicie widoczne. — No, który z zegarków jest pani, niech pani teraz powie.

— Ależ gdzie tam, panie sędzio! To napewno nie mój, nie, nie.., ja przecie znam mój zegareczek. Ani ten, ani ten...

Wtedy sędzia chowa wzięty od sekretarza zegarek, tak, że zostaje tylko ten sporny, odebrany od oskarżonej przez posterunkowego (dowód rzeczowy) i jeszcze raz pyta: — Więc pani napewno twierdzi, że to nie pani zegarek? Poszkodowana odpowiada, że może przysiąc. Kwestja jest wyjaśniona. Pomyliła się wówczas, ujrzawszy zegarek na bazarze i bezpodstawnie oskarżyła handlarkę.

Wyrok uniewinniający.

* * *

A nie ulega wątpliwości, że gdyby jej okazano odrazu tylko jeden zegarek — bez wahania poznałaby go. Ten skradziony był niklowy i nie miał żadnych znaków szczególnych i ten znaleziony u handlarki był także niklowy, zniszczony i także nie było w nim nic osobliwego.

Firmy żadna ze stron nie pamiętała.

* * *

Na humorystycznym przykładzie zegarka, wartości siedmiu złotych, przewinęła się przez salę sądową głęboka prawda psychologiczna. *I. E.*

CZY WIECIE ŻE...

W. Fox, jeden z największych producentów filmów na świecie, wespół z właścicielem jednego z największych koncernów amerykańskich Hearstem utworzyli wspólną organizację na terenie informacyjno-aktualnym. Organizacja ta ma za zadanie służyć całemu światu, za kopalnię wszelkiego rodzaju aktualności. Rozporządza ona dwoma największemi tygodnikami filmowo-dźwiękowemi: „Fox Movietone News“ i „Hearst Movietone News“, które się opierają na biurze informacyjnem koncernu prasowego Hearsta (rozporządzającym 28 wielkiemi dziennikami, dwiema własnemi obsługami kablowemi oraz całą armją reporterów i operatorów).

Oba tygodniki będą nadal funkcjonowały oddzielnie, oba jednak będą zasilane materjałem i informacjami przez wspólną organizację; staną się zatem wkrótce pierwszą tego rodzaju imprezą na świecie.

*

...profesor amerykański H. H. Sheldon obliczył ilość kurzu, zawartego w powietrzu new-yorskim. Według obliczeń tych, powietrze Nowego Yorku zawiera zgórą dwa miljony sto tysięcy kilogramów kurzu i dymu.

*

..duński minister wojny Resmussen, socjalista, wniósł do parlamentu wniosek, domagający się zniesienia armji i floty, zburzenia wszystkich twierdz i zlikwidowania ministerstwa wojny. Pozostać ma tylko korpus ochrony granic. Budżet wojskowy ma być zredukowany z 70 miljonów koron do 20 miljonów.

PIĘKNY I PRAKTYCZNY PODAREK NA GWIAZDKĘ:

MAŁY REMINGTON



Niezbędny dla Rodziców, niezbędny dla dzieci, które pisząc początkowo dla przyjemności, nabywają wprawę i zdobywają sobie warunki do uniezależnienia bytu.

Warszawa **Tow. BLOCK-BRUN, Sp. Akc.** **Hotel Bristol**

ODDZIAŁY:

KATOWICE, ul 3-go Maja 15.
KRAKÓW, ul. Bracka 17.
LWÓW, ul. Piłsudskiego 11.
ŁÓDŹ, ul. Piotrkowska 125.
GDAŃSK, ul. Pfefferstadt 43.
POZNAŃ, Plac Wolności 8.
WILNO, ul. Mickiewicza 31.

Rozrywki umysłowe

ZADANIE.

J. Smutny

Czechosłowacja

Świat Szachowy, 1929



Mat w 3 posunięciach

ZADANIE KONIKOWE

ul. por. Cezary Pobóg-Pągowski

Ł	D	Ę	W	E	C
I	K	G	E	T	Ć
Z	O	E	A	K	I
O	M	I	C	R	A
S	I	P	K	W	A
A	N	O	S	J	U

Ruchem konika obejść powyższy kwadrat tak aby utworzyło się poszukiwane zdanie.



BILETY WIZYTOWE

ułożył Józef Zieliński z Warszawy.

ZUŚ REKIN

HILARY DUK

TERESA KRAK

DR. K. RYPIZON

KS. A. WAŁEK-PJONOWY

PIOTR WATA-OSOWATYS

KS. ANTONI MADAMET

Z powyższych liter ułożyć zawód tych osób. Bilet piąty jest własnością duchownego, szósty urzędnika, siódmy wojskowego.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 42.

Metamorfoza:

Budda
Burda (albo budka)
Burka
Barka
Marka
Marks

Bilety wizytowe:

Pisarz gminny, biuralista, kontroler, ekwilibrysta (braki), aplikantka, oficjalista, posłaniec, posterunkowy, bileter.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 44.

Bilety wizytowe:

Dyrektor fabryki, Inspektor tow. ubezpieczeń (brakt), Drogomistrz, Budowniczy, Wicekonsul, Czapnik, Portrecista, Krawiec damski, Architekt.

NAGRODY

Za rozwiązanie zadań, zamieszczonych w Nrze 42, nagrody otrzymują (w wyniku losowania): p. p. J. Małachowska z Warszawy, Zygmunt Samborski z Warszawy, Michał Abarowicz, Wilno, Filipska 3, Antoni Bartkowiak, Poznań, ul. Biała 1, Czesław Kozłowski z Warszawy.

NAGRODY

Za rozwiązanie zadań z Nru 44 otrzymują p. p.: Jan Kierepka, Trembowla, Pow. Kom. Pol. Państw., Stanisław Kamiński z Sulejówka, Mikołaj Wasiljew, Łomża, ul. Stacha Konwy 13 m. 1b, Anna Dąbrowska, Lublin, ul. Gazowa 9, Kazimierz Zalas z Warszawy.

NAGRODY

Za rozwiązanie zadania konikowego oraz biletów wizytowych z niniejszego numeru przeznaczamy do rozlosowania nagrody w postaci 5 książek beletrystycznych. Termin nadsyłania rozwiązań upływa dn. 18 grudnia b. r.

TURNIEJ SZACHOWY W WARSZAWIE

W obecnej chwili odbywa się w Warszawskim Klubie Szachistów turniej graczy II-ej kategorji A, w którym udział biorą między innymi: Najdorf, Jagielski, Klepfisz, Chojnowski, Zahorski, Dobrzański. Po 3-ch rundach prowadzi Jagielski.

NUMER GWIAZDKOWY.

W numerze 49-m, świątecznym zwolennicy rozrywek umysłowych znajdą szereg różnorodnych zadań wraz z nagrodami za rozwiązanie.

NASZ KONKURS ROZWIĄZAŃ.

W początku roku przyszłego ogłoszony zostanie wielki konkurs na rozwiązanie zagadek i zadań, które będą zamieszczone w kilku kolejnych Nrach „7 dni”.

ZOFJA DROMLEWICZOWA

Bajka na ekranie

Od wielu lat systematycznie tępiliśmy bajki. Dzwonkiem pierwszego telefonu obudziliśmy raptownie Śpiącą Królewnę. Świstem, natrętnej, przedostającej się wszędzie lokomotywy, zmusiliśmy Śnieżkę i jej wierną świtę do ucieczki z krainy za siedmiu górami, za siedmiu morzami. Blaskiem elektrycznych latarni rozproszyliśmy księżycowe smugi, w których świetle tańczyły dawniej elfy i koboldy. Przyzwyczailiśmy się do samochodów i z pogardą kazaliśmy wrzucić siedmiomilowe buty do graciarni. Latający dywan zamieniliśmy na aeroplan i nawet cudowną wodę ze szklanej góry usiłowaliśmy zastąpić leczniczą metodą Steinacha. Zresztą i smoków pozbyliśmy się także, stwarzając sobie ich nędzną imitację — krwiożercze tanki.

Tępione bezlitośnie bajki znikały. W świetle postępującej wciąż naprzód wiedzy, zrobiły się szare i nikomu niepotrzebne. Przestano marzyć o zaklętym królewiczu i słusznie, bo na cóżby się zdała jego niezmierna odwaga i wytrwała miłość dziś, gdy przestano marzyć o złotowłosej królewnie, bo jakże dziwnie wyglądałaby śród kobiet à la garçonne, ona, co kochała tylko raz i na zawsze. Znikały baśni. Istniały tylko w pamięci dzieci i niepoprawnych marzycieli, dla których aeroplan był tylko mądrą rzeczywistością, a latający dywan upragnionym cudem.

Znikały bajki i wydawało się, że znikną zupełnie, gdy nagle nastąpiło ich odrodzenie.

Kinematograf uratował bajkę. Kino dźwignęło ją z zapomnienia, promieniami reflektora nadało nowy blask, ożywiło fantastyczne postacie. Znów zaczęły się dziać cuda!

Nie tracąc nic ze swego uroku, stały się bajki bliskie i dostępne. Powrócili królewicze i królewne, złe i dobre duchy, miłość i wierność. Ujrzeliśmy znów bajkę w całem jej pięknie i wdzięku nieprawdopodobieństwa, w uroku wszystkich możliwości.

Najbardziej zaś zbliżył się do krainy bajek reżyser Władysław Starewicz (Polak), spojrzał na nią oczyma marzącego dziecka i taką właśnie odtworzył na ekranie.

Bohaterami jego filmów są żaby, motyle, szczury, pająki, ptaki, porcelanowe figurki z gablotki, smoki i kwiaty.

A szczęście, miłość lub tragedja tych wszystkich istot są bardziej wzruszające od wydarzeń prawdziwych, dlatego może, bo osnute zostały mgłą prawdziwej poezji.

Władysław Starewicz, to jedyny reżyser filmowy (poza twórcami filmów rysunkowych), który w swej pracy uniezależniony jest całkowicie. Nie przeprowadza on długich dyskusji na temat treści filmu z upartym autorem scenarjusza, nie sprzecza się z architektem o takie czy inne zbudowanie dekoracji, nie sprawdza każdego ustawienia aparatu przez operatora, który „inaczej to widzi" i t. d. i t. d.

Aktorzy Starewicza nie domagają się podwyższenia gaży, nie śpieszą się na próbę do teatru, nie narzekają na długogodzinne czekanie.



Film, który normalnie jest pracą typowo kolektywną tym razem został całkowicie oddany w ręce jednego człowieka.

Władysław Starewicz jest bowiem sam reżyserem, operatorem, architektem i autorem swoich filmów, a jego idealni aktorzy, jego gwiazdy" spokojne i bezpretensjonalne zostały również przez niego samego stworzone.

Atelier Starewicza mieści się na niewielkim stole, oświetlanym specjalnemi maleńkiemi reflektorami i jupiterami. Figurki przez niego wykonane stoją posłusznie na półkach, oczekując chwili, gdy ręka realizatora ustawi je na właściwe miejsce, gdy nada ich oczom pożądany wyraz, ich postaci odpowiedni ruch, słowem, gdy powoła ich do życia.

Ile mozolnej, wytężonej pracy pochłaniają te obrazy mógłby powiedzieć jedynie ich twórca. Robota jednego filmu zajmuje kilka miesięcy czasu. Co chwila bowiem akcja filmu wymaga zmiany w ruchu lub w pozycji jakiejś figurki, to znaczy, że trzeba jej np. podnieść rękę, lub nogę, zmienić wyraz twarzy, zamknąć lub otworzyć oczy, przesunąć na inne miejsce i t. p. Ponieważ zaś w niektórych scenach występuje jednocześnie kilka, lub kilkanaście lalek, a przez cały czas trzeba śledzić i prowadzić grę tych wszystkich martwych istot, które dzięki temu na ekranie poruszają się, żyją, cierpią, lub kochają — łatwo więc wyobrazić sobie, jak wielka musi być wprawa reżysera.

Starewicz miał wielu naśladowców. Pomimo jednak, że posiłkowali się temi samymi środkami i tą samą techniką, pozostali tylko mniej lub bardziej zdolnymi naśladowcami i filmy ich nie zwróciły specjalnej uwagi na siebie. Brakowało im poprostu tej indywidualności, która cechuje obrazy Starewicza, umiejętności wywołania pożądanego nastroju, słowem pewnego polotu, którym różni się artysta od zręcznego rzemieślnika.

Przez długi czas filmy Starewicza były zupełnie niedoceniane. Traktowano je narówni ze zwykłemi dodatkami i płacono te same niskie ceny, co za normalny „nadprogram".

Ten stan rzeczy zmienił się dopiero odniedawna, gdy Starewicz został odznaczony złotym medalem na sądzie filmowym w Chicago. Sąd ten wyznacza co rok medal za najbardziej artystyczny film, który w ciągu roku ukazuje się na którym z ekranów Ameryki.

Tym razem wybór padł na kilkusetmetrowy obraz „Słowik".

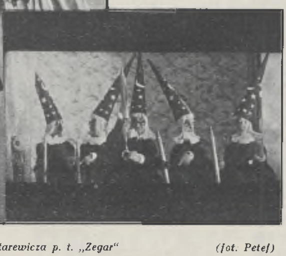
Film ten odtwarzał o swojem życiu i swojej tęsknocie za wyczekującą go napróżno towarzyszką życia. Jedyną, prawdziwą aktorką grającą w tym filmie była mała dziewczynka, córeczka Starewicza, wszyscy inni, zarówno aktorzy, jak statyści byli stucznemi marjonetkami.

Od chwili odznaczenia tego obrazu, nazwisko Starewicza stało się znanem na całym świecie. Wszystkie pisma zagraniczne wspominały o niezwykłym realizatorze obrazów, które sam jeden wykonywa, i który dotychczas nie posiada żadnego współzawodnika.

Naturalnie ów „cały świat" nie obejmuje sobą Polski. Przez długi czas nietylko nie sprowadzano u nas obrazów Starewicza, lecz wogóle nic o nich nie wiedziano. Ostatnio dopiero zaczęto sprowadzać jego obrazy i pokazano nam „Zaczarowany las" i „Zegar" Starewicza.

Wszystkie te filmy są wcieleniem poezji na ekranie. Trudno np. wyobrazić sobie coś bardziej artystycznego, bardziej poetycznego od sceny, gdy w „zaczarowanym lesie" kwiaty tańczą swój czarodziejski taniec przed zbłąkaną dziewczynką, która śpiąc poszła do lasu, a ich woń została wyobrażona przez realizatora migającemi światełkami. Lub też scena, gdy dobry duszek lasu, misternie maluje skrzydła motyle i powołuje rycerza na białym koniu do życia.





Klatki z obrazu Starewicza p. t. „Zegar" *(fot. Petef)*

PROSIMY O
HYGENOL
PUDER DLA DZIECI





ATRAMENT
Watermana
jest produktem długoletniego doświadczenia. Daje się doskonale zastosować zarówno do wiecznych piór jak i do zwykłych stalówek.

SIWE WŁOSY
WSKAZUJĄ NA ZBLIŻAJĄCĄ SIĘ STAROŚĆ. NALEŻY TEGO UNIKAĆ GDYŻ JEDYNIE MŁODOŚĆ ZDOBI



„Orientine"
PRZYWRACA STOPNIOWO SIWYM WŁOSOM PIERWOTNY NATURALNY KOLOR NIEZNACZNIE DLA OTOCZENIA. JEST NIESZKODLIWY. NIE PLAMI NIE BRUDZI PROSTY W UŻYCIU
PARF. d' ORIENT
WARSZAWA
WSZĘDZIE DO NABYCIA

Panflavin-PASTYLKACH
dla ochrony przed zapaleniem gardła i zaziębieniem
Do nabycia w aptekach.

J. J. RENAUD 7)

CZARNA SZPILKA

(Copyright by „7 DNI).

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW.

Banda opryszków, dowodzona przez tajemniczego przywódcę „Heblis“, jest prześladowaną przez policjanta-amatora Barnèza, któremu zamordowano ojca. Barnèze również broni p. Lucyny Mouriade, prześladowanej przez Heblis. Lucyna zostaje porwana przez opryszków, jednak Barnèze ją ratuje. Wynajmuje jej nowe mieszkanie dla zmylenia śladów.

Barnèze odkręcił drżącemi rękami śrubki, otworzył boczną ściankę pudełka i wyciągnął z niego ostrożnie małą rurkę.

Tik-tak zamarło.

Barnèze usiadł na krześle. Znać było po nim, że przeżył kilka chwil strasznych. Zamknięte oczy zdawały się zapadać w oczodoły.

— Gdybym się spóźnił tylko parę minut nastąpiłby wybuch i całe mieszkanie wyleciałoby w powietrze. Czy pani widzi tę maleńką wskazówkę nastawioną na godzinę pierwszą?... W tej chwili mamy godzinę pierwszą bez pięciu minut... Wybuch niespóźniłby się nawet na sekundę.

— Jezus, Marja!... Więc to tik-tak oznaczało...

— ... chwilę katastrofy. Mechanizm zegarowy, ukryty w tem pudełku, jest połączony z bombą... Ale teraz jesteśmy już bezpieczni... Zabezpieczyłem detonator... Ten rodzaj maszynek wybuchowych znam jeszcze z czasów wojny, podczas której często się nimi posługiwano... Ale nie mogę zrozumieć kiedy ta bomba zostało tutaj umieszczona i przez kogo?...

Lucyna opowiedziała mu o niedawnej wizycie inspektora telefonów.

— Jestem pewien, że jego legitymacja była fałszywa — oświadczył Barnèze... — Zaczynam podziwiać precyzyjną organizację bandy Heblis... Najbardziej jednak mnie niepokoi ta okoliczność, że nie stracili pani śladów...

— Zupełnie tego nierozumiem... Przecież dokładnie wypełniałam pańskie instrukcje podczas mej rzekomej podróży... Jestem pewną, że nikt mnie nie śledził...

— Jednak fakty temu przeczą... Mieszka pani w tem mieszkaniu dopiero od wczoraj, a już zdążyli urządzić na panią zamach, na szczęście nieudany...

— Ciekawa jestem co niemi kierowało przy tym zamachu?... Przecież plany mego męża spoczywają w ich rękach...

— Ten Heblis nie jest zupełnie normalny!... Robi on na mnie wrażenie zwyrodniałego psyhopaty!... Jakimby jednak on nie był, jest to otwarte wypowiedzenie wojny... mnie i pani... Bezwątpienia sądził on, że pani będzie na mnie oczekiwać... Niech pani będzie spokojna o plany męża, które zdobędę zpowrotem... A nawet lepiej... Nadejdzie taki moment, kiedy ci bandyci będą uważali, za rzecz dla siebie wyjątkowo szczęśliwą, ażeby sami, własnoręcznie, dostarczyć je pani do mieszkania...

W tej chwili zadźwięczał dzwonek telefonu. Lucyna podniosła słuchawkę i usłyszała głos Heblis:

— Udało się pani tym razem... Ale, cierpliwości!... Nic na tem nie stracicie, jeżeli oboje poczekacie!... A będziecie czekać niedługo!...

Lucyna usłyszała, jak Heblis cisnął z pasją słuchawkę na widełki aparatu; później suchy trzask oznajmił jej przerwanie połączenia... Za chwilę włączyła się telefonistka ze stacji w Passy... Nie tracąc zimnej krwi, Lucyna, wydała jej kilka krótkich rozkazów, których ton zniewalał do ich wykonania.

— Proszę pani, chodzi tutaj o śmierć lub życie!... Mówię teraz w imieniu policji!... Niech pani natychmiast uda się do odziału rejestrującego rozmowy i dowie się, czy która z telefonistek nie przypomina sobie numeru, z pod którego, przed chwilą, do mnie mówiono!... Proszę się nie wahać ani chwili, tylko spełnić moje żądanie!...

Telefonistka, wyczuwszy w głosie Lucyny, że spełnienie jej polecenia jest rzeczą ogromnej wagi, usłuchała natychmiast. Po chwili powróciła z urzędniczką, która dała następujące wyjaśnienia:

— Jedna z naszych telefonistek, faktycznie, połączyła panią ze stacją z *Elysée*... jednakże, niestety, nie może sobie przypomnieć numeru...

— Było to do przewidzenia — powiedział Barnèze. — Jest rzeczą prawie niemożliwą znalezienie teraz numeru pani rozmówcy...

Wyjaśnienia, uzyskane ze stacji telefonicznej nie dawały nawet pozoru jakiegokolwiek śladu. Jednakże Barnèze uważał, że najlepszym śladem dla niego, będzie maszyna piekielna, znaleziona w zegarze.

— Maszyny tego rodzaju co ta, są wyrabiane tylko w trzech fabrykach... Każda z fabryk natomiast, posiada odmienne cechy... Dlatego ta bomba staje się obecnie niebezpieczną dla jej niedawnego właściciela... Natychmiast odniosę ją do zbadania do Prefektury...

— Czy pan nie naraża się na niebezpieczeństwo osobiście ją odnosząc?... Możnaby przecież wezwać specjalne auto, do przewiezienia tej bomby...

— Niech pani się nie obawia!... Jest to jedna z tych zabawek, na których się świetnie znam... Nie należy ona do tych, nadzwyczaj niebezpiecznych przyrządów, dla których wystarcza niewielkie wstrząśnienie, ażeby wybuchły... Detonator jest zabezpieczony... Zaniosę ten klejnocik Heblis do Prefektury i zaraz wrócę... to jest mniejwięcej w przeciągu godziny... ponieważ musimy się poważnie zastanowić nad pani położeniem... Ci nędznicy, pomimo najdalej idących z naszej strony ostrożności, nie dadzą pani żyć spokojnie...

— — — — — — — — — —

W godzinę później, Barnèze, dzwonił do drzwi mieszkania Lucyny. Otworzyła mu służąca, która na jego widok osłupiała ze zdziwienia...

— Cóż się tak patrzysz, Elizo — spytał Barnèze?

— W kilka minut po pana wyjściu, zatelefonowano z Prefektury, że pan uległ wypadkowi w taksówce..., że przedmiot, który pan wiózł ze sobą wybuchł... szofera zabiło, a pan jest ciężko ranny i odwieziony do szpitala Beanjon...

— No, i...

— ...i pani pojechała do Beaujon!... Widziałam przez okno, jak pani wsiadła do taksówki...

Barnèze opadł ciężko na krzesło. Schwycił się obu rękoma za głowę.

Musiał się zdobyć na duży wysiłek, by móc logicznie myśleć i zastanowić się nad wynikającemi trudnościami...

Nie mogło mu się pomieścić w głowie, że Lucyna, która tyle razy dała dowód szybkiej orjentacji i która ostatnio stała się tak chorobliwie podejrzliwa, dała się w tak prosty sposób wywieźć w pole... Ale przecież nikt nie mógł przewidzieć naprzód nawet cienia prawdopodobieństwa takiego podstępu...

Przytem mogła niebardzo w to uwierzyć, jednakże pojechała... A jednak, droga odbyta w biały dzień z rue Nicolo do szpitala w Beaujon nie przedstawia sobą żadnych niebezpieczeństw.

Prawdopodobnie chodziło w tym wypadku o zrobienie przykrego żartu.

Barnèze zatelefonował do Beaujon...

Nie, żadna dama nie przybyła pytać się o pana Barnèze, który miał być przywieziony do szpitala...

Wynikało z tego, że Lucyna została porwana pomiędzy *rue Nicolo* i przedmieściem *Saint-Honoré*, gdzie się znajdował szpital...

Barnèze pobiegł do Prefektury. Zaczął telefonować do wszystkich komisarjatów: nie, żadna kobieta, podobna z opisu do Lucyny, nie została znaleziona ranna lub zamordowana...

O godzinie szóstej wieczór nic jeszcze nie wiedziano o Lucynie!

Bandyci Heblis dobrze ją musieli ukryć...

Ale gdzie?...

Barnèze powrócił do siebie zrozpaczony... Co czynić?... W jaki sposób odnaleźć w Paryżu, w tem olbrzymiem ludzkiem morzu jego ukochaną Lucynę?...

Mniejwięcej około godziny ósmej zjawił się się u Barnèza jakiś młody robotnik.

— Przynoszę panu papier, zaadresowany do pana, który znalazłem na *Champs-Elysées*... Wiatr zwiał go na trawnik... Papier był zwinięty w rulonik... Podniosłem go, rozwinąłem i przeczytałem, napisany na jednej stronie, pański adres... z drugiej strony jest jakiś dziwny i śmieszny rysunek... jakgdyby zrobiony węglem... Mogło to nic nie oznaczać... Ale pomyślałem sobie, że przecież codziennie przechodzę koło pańskiego mieszkania, więc nic mi się nie stanie, jak wstąpię i oddam... Może się to panu naco przyda...

Barnèze zaczął badać przyniesiony papier... Z jednej strony odczytał swój adres, napisany koślawemi literami, po których poznał jednak charakter pisma Lucyny... Z drugiej strony było napisane słowo „noc“, otoczone kółkiem.

Barnèze podziękował robotnikowi za odniesienie papieru, wręczył mu napiwek, poczem... wyszedł za nim, śledząc jego kroki...

Po chwili zauważył, że robotnik wszedł do bramy skromnie wyglądającego domu, przy ulicy *de Grenelle*. Poczekawszy parę minut, Barnèze, wszedł do portjerni, przedstawił swój dowód z policji i za-

6 cyl. CHEVROLET-
jeszcze bardziej oszczędny
od wozów 4 cyl.
Ceny od Zł. 10.650. loco fabryka Warszawa.

czął się wypytywać o personalja śledzonego przez siebie robotnika. Okazało się, że jest to pracownik huty ołowianej, cieszący się nienaganną opinją i zamieszkujący w tym domu, wraz z rodziną, od lat kilkunastu.

Wobec tak szczegółowych informacyj, żadne podejrzenie nie mogło paść na osobę robotnika.

A jednak, Barnèze, ani na jedną chwilę, nie wątpił, że kartka przez niego otrzymana, była rozpaczliwem wezwaniem na pomoc. Prawdopodobnie Lucyna znalazła chwilę czasu, by potajemnie skreślić tych parę tajemniczych znaków i rzucić na ziemię.

Ale co mogło oznaczać słowo „noc", umieszczone w obrębie koła?...

Barnèze był bardzo biegły w odczytywaniu kryptogramów. Podczas wojny, przeznaczono go przez jakiś czas do specjalnego biura wojskowego, którego zadaniem było odczytywanie korespondencji prywatnej, podejrzanej przez władze pocztowe. W ten sposób wykrywało się mnóstwo sposobów przekazywania wiadomości nieprzyjacielowi, o położeniu Francji i aljantów.

Jednakże w obecnym wypadku odczytanie kryptogramu było djabelnie ciężkie. Przez całe godziny, Barnèze, siedział wpatrzony w magiczne koło, obejmujące słowo „noc" i nie mógł znaleźć rozwiązania...

Tak minęła noc. Wczesnym rankiem, kiedy pod oknami jego mieszkania zaturkotały wozy mleczarskie, pobiegł do znanego specjalisty paryskiego. Była to, swojego rodzaju sława w odcyfrowywaniu tego rodzaju zagadek...

W pięć minut wtajemniczył go w najdrobniejsze szczegóły całej sprawy.

Po dwóch godzinach pracy, sławny ekspert orzekł, że przedłożony mu kryptogram jest niemożliwy do odczytania. Osoba, która go pisała, nie zdążyła go dokończyć. W ten sposób nie dawał on żadnej wskazówki...

ŻYWA PRZYNĘTA.

Pomimo wyraźnego niepowodzenia, Barnèze, zawziął się na ten tajemniczy kryptogram, którego nie można było odcyfrować, a w którym przeczuwał wskazówkę, daną mu przez Lucynę. Z oczami czerwonemi od niewyspania i zmęczenia siedział całemi godzinami nad tajemniczą kartką.

Co mogło oznaczać to kółko i słowo „noc"?...

Do pokoju, w którym pracował, weszła cicho jego stara służąca. „Jest do pana list!... Przyniósł go jakiś obdartus, o tak podejrzanym wyglądzie, że go nie wpuściłam. Stoi na schodach służbowych... Tak się go strasznie boję, a właśnie przed chwilą zgubiłam klucz od szafy ze srebrem..."

List napisany był na wytwornym arkusiku papieru pismem maszynowym:

„Jeżeli panu zależy na życiu, pańskiej ukochanej Lucyny, proszę się udać za naszym przewodnikiem. Broń należy zostawić w domu... Żadnych doniesień do Prefektury... W przeciwnym razie nie damy trzech groszy za zdrowie p. Mouriade..."

Pułapka, napewno dobrze zorganizowana przez tego przeklętego Heblis, pomyślał Barnèze. Niema pod tym względem żadnych wątpliwości.

Ale żywą przynętą do tej pułapki była osoba Lucyny... Bardzo możliwe, że wpadając z całą świadomością do tej pułapki będzie mógł w ten sposób ocalić Lucynę, poświęcając dla niej życie.

Człowiek, który przyniósł list, miał faktycznie ponury i podejrzany wygląd. Był to tęgi i wysoki drab, którego Barnèze momentalnie poznał.

Podczas wojny, schwytał go na zbrodni szpiegostwa.

— Jak się masz, Merlot?... Odsiedziałeś już widzę swoje dziesięć lat?... A teraz chcesz się zapoznać z Deiblerem?...

— Idzie pan, czy nie?!... — mruknął złoczyńca.

— Owszem! Idę!... Ale posłuchaj mnie przedtem!... Pamiętasz wtedy, na froncie, czułeś się bardziej bezpiecznym jak teraz. Jednakże, w ciągu trzech dni stanąłeś przed sądem polowym. Ocaliłeś wtenczas swoją skórę tylko dzięki memu zeznaniu. Oświadczyłem wtedy, że nie warto ciebie tracić, ponieważ jesteś bardziej zwierzęciem, jak przestępcą!... A teraz posłuchaj!... W ciągu czterdziestu ośmiu godzin staniesz pod szubienicą... Ale tym razem, oświadczam ci, nie wywiniesz się... Zresztą wiesz o tem, że moje słowa się sprawdzają!...

— Narazie ja pana mam w swej garści... A jeżeli chodzi o jutro, to mój szef pozwolił mi zemścić się na panu, za wszystkie poprzednie krzywdy... Jeżeli pan się zawaha, lub zrobi coś nie po naszej myśli, to piękna blondynka straci swoją główkę!... A teraz muszę pana zrewidować...

— Rewiduj mnie, Merlot, rewiduj!... Widzisz!... Żadnej broni nie mam przy sobie!... No, jedźmy już!... Ale, jeszcze chwileczkę!... Pozwól, że wezmę ze sobą moją papierośnicę!... Nie mogę się obejść bez palenia!... Oto ona!... Zajrzyjno do środka!... Może jest tam ukryty karabin maszynowy, albo maszyna piekielna?!...

— Pan sobie kpi ze mnie!... Ale to nic!... Porachujemy się...

Przed domem stała duża, ciemna limuzyna. Twarzy szofera nie było widać, pod zakrywającym daszkism czapki i okularami na oczach. Barnèze wsiadł... W tej chwili opadły story na oknach, oddzielając go zupełnie od świata...

Auto ruszyło... Wkrótce, wydało się Barnèzowi, że wyjechali z Paryża i że jadą podmiejskiemi drogami. Następnie wjechali na jakieś podwórze...

W kilka chwil potem, Barnèze, znalazł się w napół oświetlonej piwnicy, ciasno związany sznurami.

Ujrzał przed sobą twarz znienawidzonego Heblis...

Nagły błysk silnej lampy oświetlił piwnicę. Pozostająca dotychczas w cieniu sylwetka Heblis wyłoniła się przed Barnèzem. Heblis stał przed nim nawpół nachylony. Jego głębokie, dzikie oczy wpijały w siedzącą przed nim postać uwięzionego.

— Jak się masz Barnèze — wykrzyknął niemal, swym charakterystycznym, włoskim akcentem. Obecnie nie jesteśmy w kawiarni Doury... Role się zmieniły!... Teraz ja cię trzymam w rękach!... Tak samo niema nigdzie w pobliżu twego flirtu, kochanej pani Mouriade!...

— Wezwałeś mnie tutaj... Przyszedłem... Czego ode mnie chcesz...

— Co takiego?!... Pytąsz się, czego ja od ciebie potrzebuję?... Paradne!... Jednak strasznie jesteś niedomyślny!... Pewnie myślałeś, że ja ciebie wezwałem poto, by ci uścisnąć rękę?... Muszę cię wywieść z błędu, Barnèze!... Tak samo muszę cię upewnić co do losu pięknej Lucyny!... Nastąpi, widzisz maleńka egzekucja!... Podwójna i według wszelkich przepisów sztuki nowoczesnej!... Ale nie myśl przytem, że się tak prędko i ordynarnie z wami załatwię!... Trochę jeszcze z wami pobaraszkuję!...

— A więc dalej!... Niczem mnie nie przestraszysz! Zabij mnie! Zabij Lucynę! Ale bądź pewien, że cię to nieuratuje!... Aresztowanie ciebie i twojej bandy jest sprawą bardzo krótkiego czasu!... Moi towarzysze z Prefektury załatwią się z tobą w moim zastępstwie i również z pewnemi drobnemi przyjemnostkami, które ci wyrwą zęby raz na zawsze!...

— Świetnie!... Ogromnie lubię przyjemnostki w życiu i przy śmierci!... Tobie się wciąż zdaje, Barnèze, że mnie zastraszysz!... Bajki!... Już się przepełniła czara od chwili, kiedy po obronieniu Lucyny zacząłeś protegować mojego wroga, jakim jest Darbelasse z ulicy Rembrandt.

— Twego wroga?!... Czy dlatego, że się broni przed szantażem z twojej strony?!...

(C. d. n.).



Dobre samopoczucie i

pewność siebie na balu i w salonie daje Pani stałe używanie idealnego zespołu środków kosmetycznych LOHSEGO, który pielęgnuje cerę, nadaje jej naturalny, świeży, pastelowy wygląd..... Płyn

ODELYS

to połączenie dobrego pudru z wypróbowanym środkiem kosmetycznym; pudruje i udelikatnia skórę..... Stałe używanie ODELUS'U (również w formie Kremu) wraz ze słynnem Mydłem Liljowo-Mlecznem LOHSEGO jest tajemnicą pięknej cery wielu kobiet. Próba przekona i Panią.

Do nabycia wszędzie za zł. 6.50.



Liljowe mleko piękności

Eau de Lys

Gustav Lohse

Dla każdej cery właściwa karnacja



Chce pani
być piękną i zdrową?

Uroda kobiety dzisiejszej — to piękna linja. Otyłość szpeci. Utrudnia swobodę ruchów. Powoduje różne niemiłe dolegliwości jak krótki oddech, nadmierną skłonność do pocenia się, cierpienie kiszek i wątroby, a co za tem idzie, przedwczesne starzenie się.

Młodociany wygląd, równa, estetyczna linja ciała, są przecież celami godnemi zabiegów. Najlepszym i najprostszym środkiem, zapewniającym elegancką figurę i dobre samopoczucie, jest opaska

„PRUJAPOL"

Atzatem kto chce być zdrowym i mieć powodzenie w życiu, niech nosi opaskę „Prujapol" która mu zapewni wszelkie korzyści, płynące z dobrego wyglądu zewnętrznego. Ale nietylko zewnętrzny wygląd osób noszących opaskę „Prujapol" staje się powabniejszym, lecz także użycie jej zmniejsza w znacznym stopniu dolegliwości kiszek i żołądka, bóle krzyża i nerek, oraz reguluje trawienie.

Na usunięcie obwisłego brzucha jest nasz pas idealnym środkiem.

Podczas ciąży, jak i po porodzie jest noszenie opaski „Prujapol" bardzo wskazane przez lekarzy. Szczególnym powodzeniem cieszą się nasze pasy u sportowców, oddając im przy tenisie, konnej jeździe, wioślarstwie i t. d. nieocenione usługi.



Do fabrykacji opasek „Prujapol" używamy li tylko materjałów pierwszorzędnej jakości. Mają one pozatem przed wszystkimi gorsetami tę zaletę, że pasemka gumowe, z których się składają, można po zużyciu minimalnym kosztem zamienić na nowe. Zamiany takiej dokonujemy na żądanie. Opaska staje się przez to niezniszczalną.

W razie gdyby opaska okazała się po przymierzeniu nieodpowiednią, zamienimy ją na inną, względnie zwrócimy pieniądze. A więc zamawiający nie ponosi żadnego ryzyka.

Cena opaski „Prujapol" damskiej z czterema podwiązkami wynosi zł. 35.—. Opaska męska zł. 30.—. Za każde rozpoczęte 10 cm. ponad 100 cm. objętości w biodrach dolicza się 10%. Miarę należy brać w pasie i przez biodra.

Prosimy żądać bezpłatnych ilustrowanych prospektów.

B. Prusiewicz, Poznań, Młyńska 9, parter. Tel. 10-81.

ZAMÓWIENIE! Proszę o nadesłanie za pobraniem pocztowem jednej opaski „PRUJAPOL" damskiej — męskiej na objętość przez biodra .... w pasie .... cm.
W razie gdyby opaska po przymierzeniu okazała się nieodpowiednia, mam prawo ją zamienić na inną względnie żądać zwrotu wpłaconej kwoty. Dokładny adres: ....

Z cudów przyrody

W obronie „Pantofelka".



Fotografja „Wymoczka-Pantofelka.

Pogardliwie „wymoczkiem" nazywamy każde wyblakłe, spłowiałe indywiduum, które ociera się o nas na ulicy, lub wydeptuje nam w nie-bacznem zaaferowaniu odciski w przyciasnych pantofelkach.

Obraźliwe to przezwisko podnosi mimowoli niezdarę do poziomu doskonałości wymoczka, będącego w oczach laików, najnędzniejszą istotką jednokomórkową.

Należy wreszcie zrehabilitować świat widzialny jedynie przez objektyw mikroskopu, niechaj więc jeden z najpospolitszych obywateli mikrokosmosu, w pokorze „Pantofelkiem" zwany, co w języku magów nauki brzmi pięknie *Paramaecium caudatum* wystąpi w całej okazałości, objętej tym oto portretem.

Iżby godnie zareprezentować naszego skromnego pierwotniaczka, którego prawdziwe wymiary nie przekraczają 300-tysięcznych części milimetra, przedstawamy go na tej reprodukcji w bardzo znacznem powiększeniu, udostępniając tym sposobem oku laika zapoznanie się z całem pięknem stworzenia.

Niechże ktoś teraz śmie twierdzić, że wymoczek — Pantofelek jest marną istotką. Rzut oka, na cudowną budowę przezroczystego bohatera, na szeregi synchronicznie bijących wodę wioselkowatych rzęsek, na misternie wykrojone, stale pulsujące wodniczki tętniące, zastępujące z powodzeniem nerki i na wodniczki pokarmowe, rozproszone około ciemniejszej masy jądra, wypełnione bakterjami, (nieraz chorobotwórczemi), których pierwotniaczek pochłania około 100,000 na godzinę, przez co przyczynia się wraz z ogromną rzeszą swych braci do oczyszczania naszych wód od nadmiaru bakteryj i poucza nas, jak często się mylimy, opierając jedynie na pozorach prostoty.

Stwierdzamy dosadnie, że daleko wymoczkom do istot najprostszych, że świat żyjący nie zna wogóle istot „prostych" i „złożonych". Wszystko, co żyje, co jest organizmem, przyobleka się w kształt najwłaściwszy, odpowiadający warunkom, zachowując te organy i te elementy budowy, które w ciągu miljonów lat rozwoju ewolucyjnego najlepiej i najodpowiedniej spełniały przeznaczoną sobie rolę.

Max.



CZEKOLADKI NA ŚWIĘTA

CHRUPKA, LŚNIĄCA POWŁOKA NIEZBYT TŁUSTA

NADZIENIE ROBIONE

TYLKO

Z ORYGINALNYCH LIKIERÓW, KONIAKU I NAJLEPSZYCH OWOCÓW

Wielki wybór, przeszło 100 GATUNKÓW

Najnowsze bombonierki paryskie.



Fuchs





GALARETKI OWOCOWE

NA NATURALNYCH SOKACH, DOSKONAŁY I ŁATWY DO PRZYRZĄDZANIA DESER

SPRZEDAŻ W HANDLACH KOLONJALNYCH

HERBATA FP

DOSKONAŁA W SMAKU
WYDAJNA W NAPARZANIU

KONSERWY
JARZYNOWE I OWOCOWE

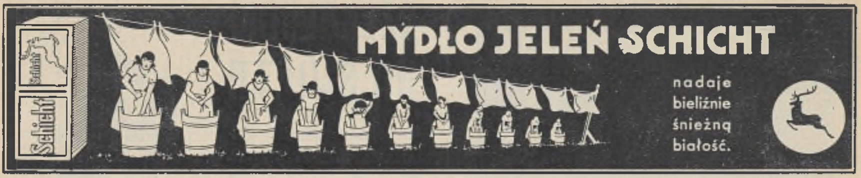
SZPARAGI, GROSZEK, FASOLA, WARZYWA RÓŻNE, GRZYBY, KOMPOTY, MARMELADY, DŻEMY

WYROBU FABRYKI

W. i ST. RADOMSCY
SP. AKC.
W PLESZEWIE (WIELKOPOLSKA)

WYŁĄCZNE ZASTĘPSTWO I SPRZEDAŻ HURTOWA:

DOM HANDLOWO-PRZEMYSŁOWY **FELIKS PAWŁOWSKI i S-ka** W WARSZAWIE UL. DŁUGA Nr 42



DR. A. FRUCHTMAN.

Dobrodziejstwa zimy

Jakkolwiek zima może wydać się niejednemu z nas uciążliwą i dokuczliwą, to jednak kryje ona w sobie poniekąd całą pełnię dobrodziejstw. Wykorzystana umiejętnie, stanowi ona najbardziej naturalny i wielce pożądany czynnik ożywczy.

W czasie upałów letnich z zadowoleniem witamy chłodniejszy powiew powietrza, zimną wodę, orzeźwiający napój, które nam ułatwiają przetrwanie dokuczliwego gorąca, z radością kryjemy się w miejsca chłodniejsze, by ujść palących promieni słońca.

A zimą? Gdy na dworze panuje przejmujący do kości mróz, kryjemy się do ogrzanych silnie pokojów i oddychamy przesyconem bakterjami powietrzem. A jednak, ile dobrodziejstw zsyła nam zima, jeżeli potrafimy tylko rozumnie ją wykorzystać. Powietrze zimą bywa czyste, wolne od kurzu, wolne od wszelkiego rodzaju zarazków, które zabija mróz, gdy tam, w mieszkaniu, mnożą się one szybko, wszystkie bowiem okna, z obawy przed utratą ciepła, bywają szczelnie zamykane. A i samo powietrze mieszkań przegrzane staje się niezdrowem; jako suche wpływa bardzo ujemnie na błony śluzowe dróg oddechowych, hamuje funkcje skóry, wydzielanie potu, wymianę gazów, pogarsza ogólną przemianę materji w organizmie. Stąd też stawia się słuszne wymagania, by w mieszkaniach zimą były zawsze ustawiane naczynia z wodą, zabezpieczającą pewną konieczną dla organizmu wilgotność powietrza.

Powietrze zimowe ożywia. Jest ono najlepszym środkiem wzmacniającym siły nasze. Z każdym oddechem wnika w nas nowe życie; pod wpływem wzmożonej czynności serca i płuc budzą się nowe siły. Również mózg, nerwy, mięśnie: wszystko to odczuwa dobrodziejstwa, płynące z mroźnego powietrza. Dość popatrzeć na młodzież naszą, oddającą się wszelkiego rodzaju sportom zimowym: saneczkowaniu, łyżwiarstwu, narciarstwu. Ile nowego w nich życia, ile radości! Każda matka zna dobrze rumiane liczka, doskonały apetyt, błyszczące oczka swych dzieci, powracających z zabaw zimowych na otwartem powietrzu.

Ale nietylko młodzieży naszej udziałem są owe dobrodziejstwa okresu zimowego. Ze strony lekarskiej zwracano już niejednokrotnie uwagę na wielkie korzyści, płynące dla osób niedokrwistych, nerwowych, skłonnych do gruźlicy i dotkniętych nią, z leczenia powietrzem zimowem, wolnem od kurzu i zarazków. Słoneczny dzień śnieżny — to zbawienna kąpiel, krzepiąca dla ustroju!

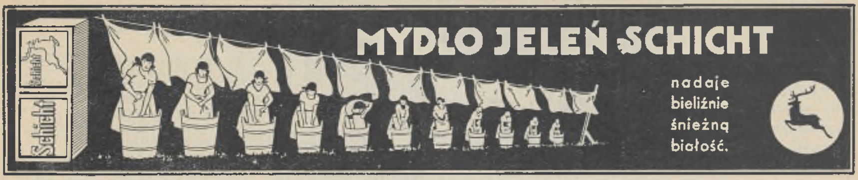
Te dobrodziejstwa zimy — to właściwie dopiero jedna strona jej medalu. Odwrotna strona — to szkody, jakie zima na nasz organizm wywierać może, zwłaszcza na te jego części obnażone, które są bardziej wystawione na niską temperaturę i przed nią nie zabezpieczone. Są to t. zw. odmrożenia. Pomijając wszystkim znane zaziębienia przy niedostatecznem zabezpieczeniu ciała przez odpowiednią odzież, musimy szczególną zwrócić uwagę na szkody, wywołane modą kobiecą, która, szczególnie w roku ubiegłym, z powodu zbyt wielkich mrozów, dała nam całą epidemję odmrożeń dolnych części goleni. Przez noszenie nie osłaniających tych części pantofelków, nakładanie pajęczych pończoszek na nogi, na dolnych częściach goleni, gdzie krążenie krwi bywa zazwyczaj nieco słabsze, zimno dokonywało dzieła zniszczenia, narażając panie nasze na długotrwałe cierpienia, które ustępowały jedynie pod wpływem wielokrotnych naświetlań lampą kwarcową.

Takim też odmrożeniom ulegać mogą palce u nóg, rąk, uszy i nos. Zabezpieczyć pierwsze można przez noszenie bucików nie uciskających stóp, a więc nie hamujących normalnego krążenia krwi, ostatnie zaś, które są właściwe osobom małokrwistym, przez odpowiednie wzmacnianie ustroju zapomocą gimnastyki, sportów, dobrego odżywiania i właściwego okrywania ciała.

Kto organizmowi swemu więcej poświęca uwagi, kto stara się braki ze strony zdrowia swego w sposób rozumny usuwać, kto czuwa nad rozsądnem wychowaniem swojego ustroju, dla tego zima może stać się błogosławieństwem, ten może uniknąć jej wpływów szkodliwych.







Ptaki uciekły — radjo zostało

Nie tak dawno, gdyż przed kilku tygodniami dokonano w Prusach Wschodnich nadzwyczaj ciekawego eksperymentu zastosowania radjo do badań naukowych nad kierunkiem lotu ptaków, odlatujących jesienią do ciepłych krajów. Rzecz odbyła się w okolicznościach następujących.

Istnieje w Prusach Wschodnich, w miejscowości zwanej Rossitten, zapadłej zresztą dziurze prowincjonalnej, stowarzyszenie miłośników ptactwa leśnego. Stowarzyszenie to dość dawno opiekuje się ptactwem leśnem i ma za sobą duże zasługi; stowarzyszeniu temu z biegiem lat udało się wyplenić dzikie obyczaje młodzieży wiejskiej w stosunku do ptaków leśnych. Nawiasem zaznaczymy, że stowarzyszeń tego rodzaju jest całe mnóstwo rozrzuconych po całych Niemczech i już na kilkanaście lat przed wojną stowarzyszenia te poszczycić się mogły osiągniętemi wynikami: nikt tam gniazd nie rozwalał, a już broń Boże, piskląt z gniazd nie wykradał. O tem, że tego rodzaju nikczemności są już nietylko zbrodnią w stosunku do ptaków, ale przedewszystkiem w stosunku do lasów, zdanych na pastwę szkodników i robactwa, zdaje się, iż rozwodzić się nie trzeba.

Gdy zatem najpilniejsze zadania ochrony ptaków leśnych zostały osiągnięte, obejrzano się za dalszemi zadaniami i otóż jedno z takich stowarzyszeń miłośników ptactwa leśnego w miejscowości Rossitten, od dłuższego już czasu przeprowadza badania naukowe nad sposobem życia i bytowania ptaków, tudzież poznania ich zwyczajów.

I na tem tle powstała myśl urządzenia prześlicznego eksperymentu, który miał na celu stwierdzenie, jak dalece ptaki orjentują się w kierunkach lotu i czy z obranego raz kierunku przypadkowo nie zbaczają. Przewodniczący tego stowarzyszenia, profesor Johann Thienemann porozumiał się z radjostacją w Królewcu, która zaofiarowała się z jaknajdalej idącą pomocą. Sam eksperyment odbył się w okolicznościach następujących:

Członkowie stowarzyszenia schwytali latem 36 młodych szpaków, które następnie w odpowiedni sposób karmiono i trzymano w przestrzeni nawpół zamkniętej. Na lewej nóżce każdego szpaka umieszczono obrączkę z odpowiednim numerem. Lato minęło, nadeszła jesień, a szpaki wciąż jeszcze były w niewoli. Wreszcie przyszły ostatnie dni września, gdy już wszystkie ptaki leśne odleciały. Właśnie szło o to, aby młode szpaki pozostawione zostały własnemu instynktowi, własnemu zmysłowi orjentacji, aby nie miały się na kim wzorować. Dnia 26 września, przed południem rozpoczął się odlot wypuszczonych z niewoli szpaków. Radjostacja królewiecka zainstalowała w Rossitten mikrofon, przy pomocy którego niezwykła chwila odlotu 36 ptaków, chwila pełna radosnych śpiewów i gwizdów i szumu skrzydeł nadana została jako... słuchowisko. Prowincjonalne radjostacje całej Rzeszy Niemieckiej przejęły tę niezwykłą audycję, a radjosłuchacze całych Niemiec przeżyli niecodzienną emocję.

Sam zaś profesor Thienemann stał przy mikrofonie z chwilą, gdy ptaki znikły w błękicie jesiennego nieba, przemówił do aparatu, wyjaśniając ogromne znaczenie naukowe dopiero co podjętego eksperymentu i prosząc usilnie o informacje i meldunki z miejscowości, w którychby zauważono lub w inny sposób stwierdzono przelot szpaków.

Już w dwie godziny po nadaniu tej niezwykłej audycji nadszedł pierwszy meldunek z miejscowości, odległej o 20 kilometrów od Rossitten. Po krótkim spoczynku poleciały szpaki dalej ku Południowi, tak, iż około godziny trzeciej po południu zauważano je niedaleko Iławy Pruskiej (Preussisch Eylau). W meldunku tym podano, iż stadko liczyć mogło 30—40 sztuk, stąd wniosek, że szpaki jeszcze się nie rozdzieliły, lecz okrążywszy kilkakrotnie miasto, poleciały dalej na Południe.

Z meldunków, które napłynęły następnego dnia, wynikało, iż stadko podzieliło się już na dwie gromadki. Część zauważono niedaleko historycznej miejscowości Tannenberg (bitwa Grunwaldzka), drugą zaś część we wsi Schwentainen, w południowej części Prus Wschodnich. Tu wydarzył się ciekawy wypadek: jeden ze szpaków dostał się przypadkowo do stodoły miejscowego włościanina — był to numer 17225. Szpaki w tej wsi przenocowały, poczem nad ranem poleciały dalej na Południe, opuszczając w ten sposób Prusy Wschodnie.

1 października, a więc w pięć dni po odlocie z Rossitten znalazły się szpaki w Karpatach Lesistych, na terenie Czechosłowacji, w miejscowości Uzcorna, Komitat Marmar. Jest tam cicha dolina, otoczona ze wszystkich stron zielonemi górami, dochodzącemi do wysokości 1800 mtr, w dolinie tej pastuszkowie huculscy, strzegący bydła schwytali szpaka, który nosił obrączkę z numerem 17161. 7 października, a więc po 11 dniach lotu nadchodzi meldunek z Rumunji, iż w miejscowości Svebarna, niespełna 15 kilometrów od Silistrji nad Dunajem stwierdzono przelot stadka szpaków; melduje o tym ciekawym fakcie urząd gminny rumuński.

10 października, a więc na 14-ty dzień od chwili odlotu schwytano przypadkowo jednego szpaka we wsi Mawromati pod Messyną nad brzegiem zatoki Messyńskiej o 14 kilometrów odległej od miasta Kalamata. Szpaki więc osiągnęły już wysokość geograficzną południowego Peloponezu (Grecja). Miejscowość, o której mówimy, leży w odległości 2000 kilometrów od Rossitten — a więc szpaki leciały z przeciętną szybkością 143 kilometrów na dobę. Jeśli teraz wziąć ostatnie, nieco spóźnione meldunki z pewnej wsi na Śląsku niemieckim oraz z stolicy Grecji, Aten, jakie profesor Thienemann otrzymał — to będziemy mieli przed oczyma wykres zupełnie prawidłowego, bez żadnych zbaczań, lotu ku Południowi. A stąd niezmiernie ważna konkluzja naukowa: szpaki, a być może i pozostałe gatunki ptactwa leśnego, które jesienią ciągnie do ciepłych krajów, lecą w kierunku Południa bez żadnych widocznych wskazówek; jest jakaś cudowna siła naturalna, która im ten kierunek właściwy nieodparcie narzuca i to tak dalece, że jak widzieliśmy podług kolejnych etapów „podróży“ — nie następuje nawet minimalne odchylenie od właściwego południka geograficznego. Co ciekawsze, przy takich lotach nie ogarnia ptaka żadna wątpliwość, czy osiągnięta szerokość geograficzna daje mu już dostateczne zabezpieczenie przed mroźnym klimatem, czy tam, dokąd doleciał — jest już ta wymarzona „przystań życiowa“ — do której my, ludzie, niestety, często całe życie biegniemy, a której kres osiągamy nieraz dopiero za cmentarną bramą...

Spektator.

Idealny środek piękności

KREM TOALETOWY
POND'S



C. COLD — tłusty na noc
V. VANISHING znikający pod puder
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

WYŁ. REPR NA POLSKĘ
McDOUGALL & Co,
WARSZAWA,
Bielańska 4, tel. 99-66.
ŻĄDAĆ WSZĘDZIE.

NA GWIAZDKĘ....

Na gwiazdkę i na każdy wieczór zimowy najmilszą rozrywką każdej rodziny jest kino domowe



Pathé-Baby

Najmilszą i gwarantującą absolutne bezpieczeństwo, gdyż wyświetlane filmy są niepalne.

Na składzie posiadamy wielki wybór filmów: naukowych, podróżniczych, komicznych, dramatów, religijnych....

ALEKSANDER KOCH & Co

Warszawa, Sienkiewicza 2, tel. 234-05.





PRZYGODA ZIMOWA

(Dokończenie ze str. 7-ej)

Obrócił się błyskawicznie na pięcie. To herszt, rudobrewy, jegomość z hall'u, jego rywal, sięgał po zdobycz. Zwierzęcy uśmiech wybiegł na wstrętną twarz, obryzganą świeżą jeszcze krwią.

Lech zatrząsł się. Ujął oburącz ciężki obuszek, wręczony mu przez zbójów i trzasnął z całej siły przez nienawistny łeb.

- Ciężko osunął się zbir na ziemię.

Lech porwał dziewczynę. Zwisła mu przez ramię, a z pod uchylonych powiek patrzały nań zestrachane, kochane oczy Zosi...

Nie panując nad sobą, przytulił ją do siebie i spadł ustami na jej usta. Nieokreślone gorąco przeniknęło całe ciało, i czuł jej wargi prężne, twarde, gorące i dziwnie słodkie...

— — — — — — — — — — —

Otworzył oczy. Roskoszne gorąco płynęło przez żyły i czuł w ustach ognistą słodycz...

Klęczał nad nim barczysty sportsmen i wlewał mu koniak przemocą przez zaciśnięte zęby. A z drugiej strony, przerażona, spłakana, klęczała panna Zosia... Po brunatnych ścianach schroniska pełzały refleksy płomienia z kominka.

— To nam pan strachu napędził — mówiła w kwadrans potem, kiedy leżał cicho, roskosznie rozgrzany szklanką herbaty z arakiem, — ledwieśmy pana znaleźli. Był pan już prawie sztywny... I leżeć będzie trzeba ze dwa tygodnie, bo noga zwichnięta... na nic nasza wycieczka...— a wszystko przez... przez niemądry upór...

Urwała nagle spłoszona szczególnym wyrazem jego oczu. A on, obejrzawszy się, czy nie zanadto zwracają na nich uwagę, uniósł się nieco i nie spuszczając wzroku z jej oczu, zapytał cichutko, usta w usta:

— Kochasz mnie, prawda?

Odpowiedziała natychmiast:

— Tak. Bardzo.

Lech przywarł powieki i poczuł nagle że mu jest strasznie dobrze na świecie...

KONKURS
„NAJPIĘKNIEJSZE DZIECKO POLSKIE"

Podajemy dla orjentacji Czytelników, iż w wyniku głosowania, największą ilość kuponów nadesłano na następujące dzieci:

Nr. 233 — 1091
„ 194 — 980
„ 211 — 660
„ 172 — 156

Przypominamy jednocześnie, iż głosowanie zostanie zamknięte w dniu 15 stycznia 1930 roku.

REDAKCJA.



1852--1929
77 lat istnienia -- 77 lat udoskonalania -- 77 lat powodzenia
ŚRODKI DO GOLENIA
PULSA IDEALNY KREM DO GOLENIA
FR. PULS
PULSA
PRZEM. MYDL. I PERFUM. FR. PULS S.A. WARSZAWA WIERZBOWA 11
WODY KOLOŃSKIE
WODY KWIATOWE
Pulsa
PRZEMYSŁ MYDLARSKI I PERFUMERYJNY
FR PULS S.A WARSZAWA WIERZBOWA 11
JUBILEUSZOWE
PERFUMY
PULSA
KROCZYMY NAPRZÓD!
UDOSKONALAMY STALE, NASZE WYROBY!
MYDEŁKO DO ZĘBÓW
ŚRODKI DO PIELĘGNOWANIA ZĘBÓW
PULSA
PRZEM. MYDL. I PERFUMER. FR. PULS S.A. WARSZAWA WIERZBOWA 11
PULSA
MYDŁA
FIJOŁEK
MYDŁO GLICERYNOWE
Przemysł Mydlarski i Perfumeryjny Fr. Puls, S. A. w Warszawie.

Co słychać na świecie

Zbliża się powoli termin dwu wielkich konferencji: londyńskiej w sprawie ograniczenia zbrojeń morskich i haskiej, w sprawie ostatecznego rozwiązania problemów reparacyjnych, — ale nadzieje pomyślnego rozwiązania kwestji, którym będą te konferencje poświęcone, zgoła się nie zwiększają. Owszem, trudności rosną i sprzeczności interesów zarysowują się coraz jawniej.

Pesymistycznie układa się horoskop konferencji londyńskiej. Dotychczasowe doświadczenie wykazało, iż w kwestjach największej wagi międzynarodowej porozumienie na konferencjach bywa osiągane o tyle, o ile już je uprzednio osiągnięto na drodze dyplomatycznej. Publiczne dyskusje zaostrzają sytuację, wprowadzają element namiętności zapaśniczej, odbywają się w atmosferze rozgrzanej oddechem tłumów, przypatrujących się spektaklowi. Otóż w kwestji rozbrojeń morskich porozumienia dotąd nie osiągnięto. Wprawdzie Anglja i St. Zjednoczone zgodziły się na stosowanie wspólnych metod pracy, ale nie porozumiały się jeszcze co do tego, jak rozumieć w praktyce teoretyczną równość sił morskich obu państw, tak różne mających potrzeby w tym zakresie. Japonja wystąpiła na konferencji z wnioskiem podwyższenia swej dotychczasowej „racji" okrętowej, uważając, że stosunek 5 : 5 : 3 jest dla niej niewystarczającym, powinien być zastąpiony stosunkiem 10 : 10 : 7. Między Francją a Włochami panuje też znaczna rozbieżność poglądów co do równości wzajemnych sił morskich, jaka wynika z umów waszyngtońskich; Włochy przychylają się raczej do tezy angielsko-amerykańskiej, nieżyczliwej dla floty podwodnej, Francja natomiast, która posiada najpotężniejszą w Europie flotę statków podwodnych (100.000 ton, Anglja ma tylko 40.000), nie myśli rezygnować ze swego najskuteczniejszego środka obrony. Ale Francja nie posiada tylko wybrzeży śródziemnomorskich, jak Włochy: musi obronić także całe swe wybrzeże Atlantyku, musi zapewnić bezpieczeństwo komunikacji morskiej między metropolją a licznemi swemi posiadłościami zamorskiemi.

Sprawa rozbrojenia, której częścią tylko jest problem rozbrojenia na morzu, tak się przedstawia obecnie, iż wygląda raczej na problem wyrównania sił, aniżeli ich redukcji. W swem ostatniem orędziu z racji otwarcia kongresu, prezydent Hoover potrącił o kwestję ciężarów budżetu wojennego Stanów Zjednoczonych, którego zmniejszenie jest ideałem każdego rządu amerykańskiego, ale ideałem coraz trudniejszym do osiągnięcia: o ile w roku bieżącym budżet ten wynosił 730 miljonów dolarów, a więc trzykrotnie więcej, niż w 1914, na rok przyszły wynosić ma 1.200 miljonów. W ten sposób państwa najbardziej nawet pacyfistyczne pojmują rozbrojenie.



Już są w Warszawie

NAJWYTWORNIEJSZE PERFUMY ŚWIATA

ROYAL CINQ
ROYAL VINGT - DEUX
ROYAL SPORT
ROYAL GARDENIA

VENDÔME
PARIS

Wszystkie wyroby VENDOME t. j. perfumy, pudry, róże, pomadki do ust oraz mydła toaletowe nabywać można wyłącznie w następujących pierwszorzędnych magazynach stolicy:

„EWARYST"
Marszałkowska 114

„PERFECTION"
Szpitalna 10
Marszałkowska 85

BRACIA
SZAMOTULSCY
Nowy Świat 21

LEON
SZAMOTULSKI
Krucza 47

TEATRY

Wielki: dn. 12 b. m. „Halka"; dn. 13 b. m. „Ostatni Pierrot", „Kleks i Serduszko"; dn. 14 b. m. „Ijola"; dn 15 b. m popoł. „Wieszczka Lalek", „Czarodziejski Flet", „Wesele na wsi". O godz. 8 w. „Balladyna"; dn 16 b m. przedstawienie zawieszone; dn 17 b. m. „Ijola"; dn 18 b m. „Wesele Figara"; dn. 19 b. m. „Bal maskowy".

Narodowy: Codziennie „Kres Wędrówki".

Letni: Codziennie „Panna z Dyplomacji"

Nowy: Codziennie „Anna Christie".

Polski: Codziennie „Rewizor".

Mały: Codziennie „Czarujący emeryt"

Ateneum: Codziennie „Pani Prezesowa".

Eliseum: Codziennie „Mirla Efros".

Morskie Oko: Codziennie rewja p t. „Cała Warszawa".

Qui Pro Quo: Codziennie rewja p t. „Coś wisi w powietrzu".

Cyrk: Codziennie walki francuskie.

KINA

Apollo. „Szlakiem hańby".

Palace: „Kobieta na księżycu".

Filharmonja: „Prawo męża".

Capitol i Pan: „Coraz Prędzej".

Stylowy: „Kołowrotek miłości".

Colloseum: „Ulica potępionych dusz"

Casino: „Erotikon".

Światowid: „Upadły anioł".







Odciąć, dokładnie wypełnić i przysłać do redakcji.

Konkurs na „Najpiękniejsze dziecko polskie"

Udział w głosowaniu biorą rodzice oraz wszyscy bez wyjątku czytelnicy „7 DNI"

Głosować należy na dzieci, których fotografje, wybrane i dopuszczone przez sąd konkursowy, były zamieszczone w Nr. Nr.: 28, 29, 30, 31, 32, 33, 34, 35, 36, 37, 38, 39, 40 i 41 „7 DNI".

Każdy kupon liczy się jako 1 głos. Każdy głosujący może nadsyłać dowolną ilość kuponów.

Głosuję na dziecko Nr...................

Imię i nazwisko głosującego:

....

....

Adres: ....

....

....

Niebywałe nagrody: I — 3000 zł., II — 2000 zł., III — 1000 zł. i t. d.

Kupon ważny w przeciągu dni 8 od ukazania się numeru niniejszego w sprzedaży

JESIENNY KRAJOBRAZ

oglądany z lotu ptaka jest wspaniały.

Widok ten daje podróż odbyta samolotem.





ZOFJA DROMLEWICZOWA.

Encyklopedja filmowa



H.

HISZPANJA.

Kraj mały lecz piękny ponurą pięknością. Domki i zamki rozrzucone z niedbałą malowniczością. Często zachodzi w tym kraju słońce, a wówczas przy blasku ostatnich promieni widać całujące się pary, w chwilę zaś później, gdy mrok posępnym cieniem owionie kochanków, widzą inni w ukryciu zdradzonego męża lub przyjaciela, ostrzącego długi sztylet, z zaciekłą namiętnością.

Wszystkie kobiety w Hiszpanji noszą oryginalne imię Carmen i pochodzą z ludu. Jedynie cudzoziemki i nieliczne arystokratki zadowolnić się muszą imieniem Mercedes.

Jedne i drugie budzą płomienne uczucia wśród mężczyzn. Ci zaś zajmują się przemytnictwem, walczą z bykiem lub służą w wojsku.

Narodowym strojem kobiet jest szkarłatna róża przypięta do szyi oraz firanka spiętrzona na głowie i przypięta ogromnym grzebieniem.

Mężczyźni noszą wielkie kapelusze, szerokie pasy i wymachują groźnie sztyletem lub rewolwerem, przypominając o przysługującym im prawie „vendetty".

Wszystkie kobiety śpiewają po podwórkach i ulicach, tańcząc jednocześnie i potrząsając kastanietami, czem podekscytowani osobnicy rodzaju męskiego zaczynają się kłócić i bić między sobą.

Narodowym tańcem w Hiszpanji jest tango argentyńskie, hymnem zaś narodowym piosenka:

Bo miłość to cygańskie dziecię...

W Hiszpanji bardzo rozpowszechniona jest hodowla byków, które zostają pozbawiane życia nie w rzeźni, a na arenie cyrku.

Innych zwierząt w Hiszpanji nie spotyka się wcale.

(fot. Fox i Metro).



„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50; roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, 1/2 strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1.50, układ 3-szpaltowy. Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe. Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji: w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej (Oprócz dni świątecznych).

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Drukarnia Zakładów Wydawniczych M. Arct, Sp. Akc. w Warszawie, Czerniakowska 225.